Nr. 22. Lwów, Niedziela dnia 30. Maja 1875 r. **Rok II.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM II.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 złr. półrocznie 6 złr. kwartalnie 3 złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Wydawcy: **A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.**
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 srg. kwartalnie 2 tal. 10 sg

LUŹNE UWAGI.

XXII.

NAUKA JĘZYKA POLSKIEGO.

III. Nauka języka polskiego, w wyższych zakładach naukowych, oddzieloną być winna od wykładów historji literatury; oba bowiem przedmioty wymagają specjalistów, i gdyby przypuścić, że znajdzie się taki profesor, któryby znał je dokładnie, to nie będzie miał dość czasu na sumienny wykład gramatyki porównawczej i historji literatury jednocześnie. Profesorom do pomocy i jako szkoła późniejszych profesorów, fungować mają docenci, lub lektorowie — bo o tytuł tu nie chodzi — obu przedmiotów: ludzie poświęcający się nauce ojczystego języka i literatury, już to dla samej pracy, już też z zamiarem pozostania z czasem profesorami wyższych, lub średnich zakładów naukowych. Jedni z nich powinni być płatni z funduszów na to przeznaczonych, drudzy zaś ograniczeni do czesnego swoich słuchaczów, i pierwsi byliby obowiązani rok rocznie wykazywać się fakultetowi swemi pracami naukowemi. Każdy pojmie łatwo, że takie zgromadzenie młodych sił naukowych w wyższych zakładach, pociągnie za sobą koszta nieznaczące, a usługę odda krajowi bardzo wielką, już to przez uprawianie nauki, już też wytwarzając odpowiednie pedagogiczne siły, nakoniec jako skuteczny bodziec dla profesorów, by nie zasypiali na laurach, raz z katedrą zdobytych. Chciejmy mieć ludzi, a mieć ich będziemy. Starej tej prawdzie raz już nareszcie uwierzyć potrzeba.

„Nie mamy funduszów!“ powiedzą nam na to. Sakramentalny frazes, będący na ustach tych wszystkich, którzy przykryć nim usiłują własne lenistwo, lub niechęć. Nie jest to prawdą, bo pieniądze są, a gdyby ich nawet nie było — znaleźć się powinne. Kraj daje miljony, ma więc prawo odbierać tysiące; płacimy podatki — kto je więc zabiera, winien opłacać nasze wydatki, konieczne bo na oświatę, która jest mistrzynią pracy, tworzącej dobrobyt. Ale może gdzieindziej nie wiedzą jeszcze o tem, że pieniądze ściśle łączą się z oświatą, może nam ich nie dadzą. W takim razie dajmy je sami sobie. Chowamy konie, hodujemy bydło, uprawiamy rzepak, buraki, i to nas kosztuje — toć i ludzie, od bydła, rzepaku i buraków nie gorsi. Nie chcą inni, więc my zapłaćmy za to, że nas zrobią ludźmi; zapłaćmy sami nauczycieli języka macierzystego, uprawiaczów nauki polskiej, mistrzów polskiego słowa i polskiej literatury. Utrzymujmy sami tych, którzy nas sami także utrzymują; bo inaczej będziemy mieli w kraju piękne bydło i dorodne buraki, ale ludzi, Polaków, w nim nie będzie, a nie będzie ich bez mowy polskiej, bez polskiej literatury.

BYLE WYŻEJ!

POWIEŚĆ

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Panu Tomaszowi nie smacznie się zrobiło, gdy zobaczył przed sobą nachmurzoną, bladą twarz Walentego. Walenty bowiem, nie zobaczywszy ani kawałka skóry obok majstra, domyślił się jak spędził ten dzień, a choć mu nie robił żadnych wyrzutów, by go nie wstydzić w obec ludzi, to spojrzenie jego, a wreszcie sama obecność już odebrały humor panu Tomaszowi. Chciał sobie go ująć i zaprosił do kompanji i kazał podać lampeczkę „słodko korzennego“. Ale Walenty obruszył się na zaproszenie, szorstko odmówił lampeczki, i namawiał Tomasza natarczywie do powrotu do domu.

— No, no, Walusiu, tylko jeszcze po lampeczce, na zgodę, jak mnie kochasz.

— Dość już wam panie Tomaszu tego picia — mruknął Walenty opryskliwie. Ta dość ostro wypowiedziana reprymenda drasnęła dumę pana Baryłkiewicza, wziął na kieł, podparł się pod boki i patrząc z góry na Walentego zaczął go gromić:

— Jakto za wiele? co? Czy mi to nie wolno, hę? Czy ja to nie majster? „Dość tego picia“ patrzcie mi go, co za śmiałość. Będę pił dopóki mi się będzie podobać, rozumiesz? — rzekł uderzając pięścią w stół, że się aż lampeczki zatrzęsły — a tobie nic do tego. Wara i subordynacja panie!

— Tak, a robota będzie czekać, aż się wam już będzie widziało dosyć.

— Robota nie ucieknie. Na wszystko tego panie jak się nazywa jest czas. Od tego dał pan Jezus niedzielę, żeby się człowiek mógł zabawić w porządnej i uczciwej kompanji.

— Trzeba lepiej było skóry kupić, bo wiecie dobrze, że robota pilna.

— Jakoś to będzie. Co nagle to po djable. Na wszystko czas się znajdzie panie tego, jak się nazywa. Jak robić to robić, ale jak pić to pić.

— Oj, to też pijecie — mruknął po cichu niezadowolony Walenty.

— Co ty tam mruczysz między zębami, hę? Ejże Walenty pókim dobry!

— Ale bo znieść tego nie mogę, co wy robicie panie Tomaszu. To nawet nie ładnie tak na porządnego majstra, to nie przystoi.

— Co ty ośle wiesz co przystoi a co nie przystoi panie tego. Szewcy zawsze pili, to już panie tradycja nasza taka. A co szewców zrobiło panami? Co im zjednało łaskę świętego Jacka? Ta bo może nie wiecie o tej historji? — spytał siedzących obok niego.

Ruszyli ramionami na znak, że nie wiedzą.

— Prosimy, prosimy, opowiedzcie — odezwali się chórem podchmieleni towarzysze.

Pan Baryłkiewicz kazał dać znowu kolejkę i pomimo protestu milczącego, jaki czytał na nachmurzonej twarzy Walentego,

zaczął ulubiony epizod z dziejów cechu szewców krakowskich.

— Bo to tak było — zaczął bawiąc się lampeczką miodu — kiedy święty Jacek panie tego jak się nazywa wracał z Rzymu, i dano o tem znać do kapituły krakowskiej, wszystkie panie cechy wyszły z chorągwiami aż do Borku, wiecie gdzie Borek?

— Wiemy, wiemy — potakiwali kiwając ociężałemi głowami.

— Owóż tedy do Borku panie wyszli naprzeciw świętemu naszemu patronowi. Stanęli koło karczmy i czekają, czekają godzinę i drugą i trzecią, a świętego Jacka jak nie widać tak nie widać, a tu deszcz leje panie jak z cebra. Cechom się sprzykrzyło, i nad wieczorem wróciły do miasta. Tylko szewcy zapili sprawę w karczmie i zostali. Miodek był panie nie zły.

— Więc miód pili? — spytał jeden na pół drzemiący.

— Tego historja dokładnie nie mówi. Miód czy wódkę, to na jedno wychodzi, dość, że jak zaczęli panie pić, tak pili całą noc. Aż tu nad ranem dają znać, że święty Jacek jedzie. Szewcy do chorągwij i wystąpili z paradą na powitanie. Świętemu bardzo się podobał ten afekt szewcki, i panie darował im za to Dębie, za Grzegórzkami. Tak więc widzicie, że szewc wtedy najlepiej robi jak pije. To już panie tradycja nasza. W kieliszku nasz rozum panie tego jak się nazywa. Jak szewc po pijanemu zacznie mówić, to w kąt filozofy. To nasza filozofja, nasza polityka.

— A cóż z Dębiem się stało?

— Co? Panie tego jak się nazywa, a nic. Szewcy panie zostali panami, kazali się chłopom nosić na krzesłach, bili pocięglami swoich poddanych, co się zmieściło, golili im łby i smołą oblewali, jak wielcy panowie, i było tego dobrego...

— Póki Dębia nie przepili — dokończył Walenty za pana Tomasza.

— Walusiu! — upomniał go majster zły, że mu tak niegrzecznie przerwał. — Z respektem trza nam być dla naszych przodków. Zły to ptak co własne gniazdo kala.

Tak gawędząc dosiedział pan Tomasz na Podbrzeziu do dziesiątej godziny, pomimo mruczenia i surowych min Walentego. Kiedy przyszło do płacenia pokazało się, że pieniędzy nie było. Pan Tomasz zmięszał się, to go trochę nawet wytrzeźwiło. Nie mógł wiedzieć na pewno czy zgubił, czy mu kto wyciągnął. Posądzać nikogo nie można było bo nie był pewny. Przeszukał po wszystkich kieszeniach, pod stołem, ale nic nie znalazł. A tu trzeba było za miodek wypity zapłacić, i nie było czem. Ale że pan Tomasz, jako częsty gość, miał kredyt na Podbrzeziu, więc kazał dług zapisać, a sam goły jak święty turecki wracał do domu z Walentym, deliberując ciągle nad tem, gdzie mogły mu się zatracić te pieniądze. Była to reszta z owej setki, za którą miał kupić materjału. Wszystko djabli gdzieś wzięli. Pan Tomasz stracił fantazję, spokorniał w obec Walentego, i począł lamentować, że go nie posłuchał i nie poszedł z nim do Szmula po skóry. Żal przyszedł mu po niewczasie; pieniądze się nie wróciły; choć pan Tomasz na drugi dzień krzyżem przeleżał trzy msze w kościele, i za resztę drobnych, co mu w kieszenie zostały, kupił rurkowych świeczek przed świętego Antoniego. Przeszukał wszystkie kieszenie, patrzał nawet za podszewkę, obszedł wszystkich znajomych, z którymi wczoraj się raczył, wszystkie knajpeczki, do których wczoraj wstępował, pytał się, szukał, ale nic nie znalazł. Pieniądze przepadły, jak kamień w wodę. Święty Antoni nie dał się jakoś uprosić rurkowemi świeczkami, a tu trzeba było kupić skóry i zacząć robotę, by się nie pokazać oszustem w obec panów majstrów i nie zawieść ich zaufania. Pan Tomasz więc zawiedziony przez świętego Antoniego udał się do innego patrona, do Icka Trelera, do którego w nagłej potrzebie stawał się także nabożnym, z tą jednak tylko różnicą, że kiedy święty Antoni kontentował się kilkoma świeczkami, Treler wymagał dużych procentów za pożyczone na zastaw pieniądze. A że teraz już zastawiać nie było co, a pożyczkę na weksel uważał żyd za wielkie rezyko; więc też kazał sobie to ryzyko sowicie opłacić procentem, który zaraz z góry odtrącił tak, że panu Tomaszowi z całej pożyczki zaledwie kilkanaście guldenów się dostało. Nie wiele mu to pomogło. Zaledwie na kilka par butów można było kupić za to skóry, a choć chcąc odpokutować za swą winę wziął się na ostro do pracy i przysiedział kilka dni kamieniem przy robocie, to jednak mimo całej usilności nie był w stanie dopełnić zobowiązania, i za zaliczkę stu guldenów dostarczył zaledwie dwanaście par butów. Cech musiał za niego dołożyć resztę. O dalszy obstalunek prosić nie miał już śmiałości, ani cech nie kwapił się z oddaniem mu takowych. Tak więc to, co miało mu pomódz, powiększyło tylko jego długi i pogorszyło położenie, bo oddało go w ręce lichwiarza, który umiał wydusić ostatni grosz od pana Tomasza na opłatę procentów od wekslu. Procent ten wyciągał sobie to w gotówce, jeżeli takową znalazł czasem w rękach pana Tomasza, co się jednak rzadko zdarzało, to robotą, to kawałkami skóry, lub jaką starzyzną. Żyd niczem nie pogardzał, wszystko brał, a pan Tomasz czem mógł opłacał się natrętnemu wierzycielowi, który jak mucha kręcił się koło niego;—niszczył się coraz bardziej, a z długu wyjść nie mógł. Przyszło w końcu do tego, że nie było już czem się opłacać, żyd czekać nie chciał i jednego dnia zjawił się z komornikiem i zabrał co tylko można było zabrać jeszcze z mieszkania pana Tomasza na pokrycie długu. Zabrał stare łóżko i resztę sprzętów z kuchni i z warstatu, i szafę od rzeczy pustą, i Poniatowskiego wskakującego do Elstry, a nawet święty Kryspin i Kryspian przeszli w ręce żydowskie. Treler do tego stopnia posunął gorliwość swoją, że chciał nawet zabrać ladę cechową i stół, przy którym obradowali zwykle starsi majstrowie; ale pan Baryłkiewicz stanął jak święty Michał w obronie tych świętości, i w braku miecza kijem wywijał nad głową niewiernego.

— Wara od tego! — zawołał w świątobliwem oburzeniu — tobie psie niewierny nie wolno dotykać się tego. To nasze skarby, nasz majątek, którego nie dostałbyś, choćbyś płacił wszystkiemi pieniędzmi, jakich ty i twoi dorobili się na ludzkiej krzywdzie. Precz od tego!

I odganiał żyda, który pożądliwem okiem poglądał na skrzynię, w której rzeczywiście myślał, że skarby się znajdują. Byłby się uspokoił, gdyby był wiedział, że skarby te składały się ze starych szpargałów, mosiężnych buzdyganów i trochę pieniędzy, których pan Tomasz mimo przykrego położenia, nigdy jednak naruszyć się nie ośmielił. To poszanowanie grosza publicznego, ta bałwochwalcza prawie cześć dla starych pamiątek cechowych, i ten zapał, z jakim stanął teraz w ich obronie, wyglądały, jak resztki złota na wyszarzanym i zniszczonym już staroświeckim pasie, budziły uszanowanie i sprawiały rozrzewniający widok. Stanowiło to jedyny dobytek człowieka, co już wszystko stracił.

Ale pomimo cześci, jaką pan Tomasz otaczał skarby powierzone jego pieczy, cech uważał sobie za ubliżenie zostawiać ladę dłużej w mieszkaniu wypróżnionem przez komornika, i przeniósł się do innego majstra, a przy najbliższych wyborach i godność starszego cechu oddał w inne ręce. To dobiło pana Tomasza; stracił to, co uważał za najwyższy honor dla siebie, co stanowiło jego radość i dumę. Teraz nie miał już nic do stracenia, toteż prędkim krokiem potoczył się na dół, rozpił się na dobre i zeszedł na dziada. Nie widział już ratunku dla siebie, nie dbał już o nic byle tylko zkąd dostać trochę groszy, by miał za co pić na desperę. Po pijanemu zapominał o swojej nędzy, nie widział wytartego surduta i łat na nim, nie widział dziurawych butów, przez które palce wyglądały i robiły wstyd majsterskiemu honorowi; dawne dobre czasy zmartwychwstawały wtedy w jego pamięci i nabierał fantazji. To też picie było jedynem jego szczęściem, a że go nie stać było na miód, więc wałęsał się po szyneczkach i w półkwaterkach najordynarniejszej wódki szukał dla siebie pociechy i wtedy politykował jak dawniej, układał wojny, co mają nas zbawić, przepowiadał klęski i mory, i rozdawał trony i królestwa. Naprózno Tekla i Walenty usiłowali powstrzymać go od tego, Walenty perswazją a Tekla wymownem milczeniem i niemą prośbą oczów; nic to nie pomagało. Widok tych dwojga osób był dlań bolesnym wyrzutem, od którego uciekał jak najprędzej. Czasem po kilka dni nie pokazywał się w domu, by nie spotkać się z nimi. Józef dowiedziawszy się o tak smutnem położeniu pana Tomasza, usiłował przyjść mu z pomocą i przez Walentego proponował mu miejsce dozorcy w swojej fabryce mebli, albo gdyby nie chciał, obiecał mu wystarać się o ajencję zagranicznych garbarni do sprzedaży skór. Ale pan Tomasz podobne zajęcia uważał za ubliżenie swojej majsterskiej godności, i nie przyjął ich, utrzymując, że nie porzuci za nic w świecie stanu rzemieślniczego; był dumnym z tego, że jest rzemieślnikiem. Okropnie dziwnie odbijała ta duma od łachmanów jego, i strzępków, bo już do tego stanu zeszedł ubiór byłego starszego cechu. Tekla ratować chciała ojca, jak mogła, z tego położenia. Pracowała ciężko, z wysiłkiem, gło-

dziła się, byle ojcu pomódz. Bała się dawać mu pieniędzy do ręki, ale kilka razy sprawiała mu porządniejsze ubranie, by nie potrzebował się wstydzić przed ludźmi za nędzę swoją; ale nic to nie pomogło; pan Tomasz przepił suknie i wracał do łachmanów. Toteż najlepsi znajomi unikali spotkania się z nim, a jeżeli ich zaczepił, to kilkoma groszami opłacili się natrętnemu i uciekali od niego. Pan Tomasz klął na niestałość ludzkiej przyjaźni, i szedł pić i zapić żal do ludzi za grosz, który mu ze wstrętem rzucili. Potem doszło do tego, że już i obcych zaczepiał i prosił o wsparcie, by miał za co pić, bo pić chciał bezustannie, by zapomnieć o swojem położeniu, by ugasić pragnienie, co go paliło bezustannie. Wódka była dla niego lekarstwem, które go chwilowo leczyło a powoli dobijało. Zwykła pijaków choroba drżączka i ogłupienie, poczęły już silnie objawiać się u niego.

W takim stanie spotkał go raz Józef. Było to na plantacjach, o zmierzchu. Jakiś obdarty i wynędzniały człowiek zbliżył się do niego z wyciągniętą ręką i prosił o jałmużnę. Józef sięgnął do kieszeni i naraz wzdrygnął się, poznawszy w żebraku ojca Tekli. Tomasz także musiał go poznać, bo prędko spuścił rękę na dół i chciał się cofnąć. Ale Józef przytrzymał go i odezwał się głosem pełnym współczucia i litości:

— Panie Tomaszu, co się z wami stało?

Dawno już nikt nie przemówił do niego tak życzliwie, to też słowa te chwyciły go za serce, przypomniały mu lepsze czasy i łzy pociekły po wynędzniałej twarzy. Silne wzruszenie gwałtownie podziałało na słaby organizm, począł się trząść cały i zachwiał się na nogach. Byłby upadł, gdyby go Józef nie był podtrzymał i nie podprowadził do najbliższej ławki. Tu posadził go i usiadłszy przy nim począł troskliwie pytać się, dlaczego będąc w takiem położeniu nie udał się o pomoc i radę do niego, jako do dawnego znajomego. Tomasz chciał odpowiedzieć i nie mógł; łzy dławiły go i nie pozwalały mówić; potem zaczął coś bełkotać bez związku, oczy jego patrzały nieprzytomnie, a twarz była to sina jak żelazo, to czerwona, purpurowa prawie. Całe ciało dygotało jak w febrze. Był to paroksyzm choroby, która coraz bardziej podgryzała życie pijaka. Obecnie paroksyzm ten silniej się objawił, chory popadł jakby w epilepsję.

Józef zaniepokojony zawołał na przejeżdżającą dorożkę, wsadził w nią chorego i kazał zawieść do swego mieszkania, równocześnie posłał po doktora i po Teklę.

Z pomocą lekarza chory wrócił do przytomności, spojrzał po otaczających pytającym, zdziwionym wzrokiem i spytał cicho:

— Gdzież ja jestem?

— U mnie, u mnie jesteście panie Tomaszu — odezwał się Józef uspokajając go.

Tomasz zatrzymał na nim sztywno swe oczy, zdawał się zbierać myśli, a oczy jego przez ten czas zapełniły się łzami

— I tyś mnie przyjął w dom, nędzarza, pijaka od którego wszyscy uciekali? Tyś mnie przyjął, któremu tyle złego zrobiłem? Jakże mnie Bóg ukarał!

Wyciągnął do niego rękę, na której Józef położył dłoń swoją, ale ją wnet cofnął gdy spostrzegł, że chory chciał ją do drżących ust przycisnąć.

— Co robicie, panie Tomaszu?

— To ci się należy za wszystko co ci zrobiłem. Tekluniu — mówił po chwili zwracając się do córki — musisz go... całe życie... przepraszać za mnie... Ty mu wynagrodzisz wszystko, wszystko, pamiętaj!

Coraz trudniej było mu mówić, z forsą dobywał z siebie głosu, który chrypiał, jakby wlókł się po grudzie.

— Uspokójcie się, panie Tomaszu — odezwał się znowu Józef — przepraszać nie ma za co, obaśmy niewinni. bośmy obaj wierzyli, że robimy dobrze. Teraz przekonaliście się, że ja nie chciałem źle, i będzie znowu zgoda. Będziemy znowu razem, jak dawniej.

Chory potrząsnął głową:

— Nie, nie, mnie się już nic nie należy. My starzy zeszliśmy na psy, z nas już nic nie będzie, wy górą, my ustępujemy.

Były to już ostatnie słowa jego. Potem bełkotał coś niewyraźnie i bez związku, a nad ranem święci Kryspin i Kryspijanin stracili jednego ze swoich gorliwych wyznawców. Pan Tomasz Baryłkiewicz żyć przestał.

VII.

Dowiedzieliśmy się w poprzednim rozdziale, że Jan po powrocie z zagranicy otworzył kancelarję adwokacką. Nie zrobił on tego od razu, nie urządził się zaraz z początku tak jak mógł i chciał, by nie zwrócić na siebie uwagi policji. Postępował powoli i ostrożnie i robił tylko takie wydatki, z których w razie danym mógłby się był wytłumaczyć. Przezorność tę posunął do tego stopnia, że kiedy ojciec wyszedł z więzienia i udał się do niego, Jan po przywitaniu się z nim dość chłodnem oświadczył mu, że go przy sobie mieć nie może, bo by to uderzyło w oczy policję, zkąd początkujący adwokat ma takie dochody, że może utrzymywać siebie i ojca.

Staremu Dylskiemu ostrożność ta wydawała się trochę za nadto przesadzoną, spodziewał się innego trochę przyjęcia; ale nie powiedział nic i zgodził się na propozycję syna. Zrobił mu tylko uwagę, że możeby to nie wypadało, aby on teraz trudnił się dalej stolarstwem, że możeby też pomyślał dla niego o jakiem innem zatrudnieniu.

— Tak dla formy tylko — rzekł — więcej dla honoru twego, bo żyć z tego nie będę potrzebował. Mamy dziękować Bogu żyć teraz z czego.

Ta uwaga tyczyła się owych ukrytych pieniędzy Mendla, o których dotąd Jan nic nie wspomniał. Dylski chciał tem potrąceniem przypomnieć mu delikatnie i dowiedzieć się, gdzie schował te pieniądze i jak ich użyć myśli. Ale Jan zdawał się nie rozumieć tej intencji, i omijając zupełnie tę kwestję, począł rozmawiać z ojcem, jaki rodzaj zatrudnienia byłby dla niego najodpowiedniejszy i dał mu dość wyraźnie poznać, że zatrudnienie to powinno mu dawać takie dochody, aby z nich mógł się utrzymać, bo wszelkie nadzwyczajne fundusze mogłyby na niego ściągnąć podejrzenie. Mówił to wszystko tak przekonywająco, tonem tak stanowczym, że propozycje i rady jego miały prawie siłę rozkazu i ojciec rad nie rad zgodzić się musiał na wszystko. Jan wyszukał mu miejsce pisarza w kantorze bankiera Sztolce. Był on tam właściwie woźnym, a raczej posługaczem, bo do niego należało utrzymanie porządku w kantorze, chodzenie na pocztę, noszenie depozytów do kasy i inne tym podobne czynności; ale ze względu na to, że obok tego miał sobie polecone wypisywanie kursów papierów z gazet i wystawianie ich w oknie, że utrzymywał także rejestr wydatków na rekwizyta kancelaryjne i na służbę — nazywano go pisarzem i ten tytuł pochlebiał dumie Dylskiego; niechętnie już teraz wspominał o tem, że kiedyś był rzemieślnikiem, to go wstydziło teraz i nie rad był, gdy kto z nim rozpoczął o tem rozmowę. Chciał zatrzeć w pamięci ludzkiej i swojej przeszłość. Również nie przyznawał się do Józefa z tego samego powodu. Poczciwe zatrudnienie syna wydawało się teraz ubliżającem człowiekowi, który pracował w kantorze bankierskim (tak się bowiem Dylski o sobie wyrażał) i miał syna adwokatem. A choć ta posada w kantorze dawała mu bardzo mierne utrzymanie, to jednak postanowił trzymać się jej do pewnego czasu, dopóki Jan jego nie będzie mógł wziąć go do siebie. To co było, uważał za chwilę przejściową. Marzeniem jego było być przy Janie, widzieć go opływającego w dostatki i honory, których cząstka i jemu miała się dostać w udziale, i cieszył się już naprzód na to, jak szczęście jego kłuć będzie w oczy dawnych jego znajomych, jak będzie mógł pokazywać im swoją wyższość i pomiatać nimi. Marzenia jego spełnić się mogły, bo Jan coraz więcej zyskiwał klientów i wyrabiał sobie imię zdolnego adwokata.

Szczególniej jeden proces podniósł go bardzo w opinji. Był to proces kryminalny. Przed sądem stała młoda hrabina S. obwiniona o otrucie męża. Małżonkowie oddawna już żyli ze sobą w niezgodzie,—wiedzieli o tem wszyscy, jak również nikomu nie było tajnem, że hrabina miała romans z pewnym młodym porucznikiem od huzarów. Stosunek ten ze względu na nieznośny charakter i wiek hrabiego S. nie gorszył nikogo, szczególnie w sferach wyższych, i znajdował tam pobłażanie. Gdy naraz rozeszła się wieść o nagłej śmierci hrabiego. Nikt nie wątpił, kto może być sprawcą tej zbrodni, zwłaszcza, że hrabina po dokonaniu jej uciekła ze swoim kochankiem i dopiero na granicy przytrzymano ją. Służący hrabiego zeznał pod przysięgą, że w nocy, w której jego pan żyć przestał, widział panią hrabinę wychodzącą z jego pokoju, że była blada i pomieszana i trzymała w rękach jakiś pakiet. Według dochodzenia sądowego pokazało się, że to prawdopodobnie były pieniądze hrabiego, które hrabina uciekając zabrała ze sobą. Pieniędzy tych jednak przy hrabinie nie znaleziono i dotąd daremnemi były usiłowania sądu, i policji odszukania ich. Stróż nocny dworski zeznał także, że wartując przy bramie usłyszał w krzakach koło furtki jakiś szelest, że psy rzuciły się w tę stronę mocno ujadając, ale naraz ucichły i za chwilę powróciły do niego. Był więc pewnym, że

ktoś „z pokojów“ był w ogrodzie, a nad ranem zobaczył furtkę z ogrodu otwartą. Następnie wykazała obdukcja lekarska, że hrabia został otruty morfiną i to znaczną ilością. A w biórku hrabiny znaleziono właśnie resztę tej trucizny. Aptekarz zaś z miasteczka, w pobliżu którego znajdował się majątek hrabstwa S. zaraz potem, gdy wiadomość o śmierci hrabiego rozeszła się po okolicy, doniósł sądowi, a następnie pod przysięgą zeznał, że na parę tygodni przedtem hrabina przysłała służącego po lekarstwo z paryską receptą, w której zaordynowana była tak znaczna ilość morfiny, że wzdrygał się przyrządzić to lekarstwo, i dopiero gdy hrabina sama w parę dni potem zażądała tego lekarstwa i wytłumaczyła mu, że dość często zmuszona jest używać morfiny dla uspokojenia nerwów, że przyzwyczaiła się już do dość sporych dawek, zdecydował się zadość uczynić jej żądaniu. Jeszcze i to obciążało obwinioną, że podczas swego uwięzienia usiłowała ratować się ucieczką, że przekupiła dozorcę i jedynie przypadek przeszkodził wykonaniu zamiaru. Wszystkie te okoliczności zostały stwierdzone przez świadków zaprzysiężonych, obrona obwinionej, przeciw której tyle mówiło, była niepodobną i adwokaci nie zazdrościli wcale swemu nowemu koledze tej sprawy, w której ani znajomość prawa, ani wymowa nic nie mogły zrobić dla obwinionej, nawet wyszukanie okoliczności łagodzących było niepodobnem. Jan jednak przyjął obronę. Przypuszczano, iż korzystał ze sposobności, aby się dać poznać publiczności, bo proces hrabiny zainteresował osoby należące do sfer wyższych, i w dzień ostatecznej rozprawy mnóstwo powozów stało przed gmachem sądowym, a sala była natłoczona. Jan zdawał się mało zważać na to, zajęty był przeglądaniem aktów i kodeksu, ponura i dość pospolita twarz jego nie budziła wcale sympatji, ani robiła nadziei dobrej obrony; szeptano sobie, że hrabina mogła była wybrać sobie jakiego znanego i zdolnego adwokata. Zdanie to ugruntowało się jeszcze więcej, gdy po świetnym akcie oskarżenia prokuratora, obrońca obwinionej powiedział zaledwie kilka słów wstępnych i to dość nie gładko, głosem chropowatym i niemiłym.

Przesłuchanie oskarżonej trwało krótko. Hrabina czy przez dumę czy przez wstyd odpowiadała bardzo mało na pytania sędziego, utrzymywała tylko, że jest niewinną, że niezdolną by była do popełnienia zbrodni, o jaką ją obwiniają. Na tem ograniczyła swoją obronę zostawiając resztę swemu obrońcy. (C. d. n.)

STUDJA O SZTUCE W POLSCE

ZA DNI NASZYCH.

Skreślił

JÓZEF ROGOSZ.

Wystawa obrazów we Lwowie w r. 1875.

I.

Jan Matejko.

Wielcy ludzie, wielkie talenta nie są zjawiskami przypadkowemi, nie padają jak meteory z jasnego nieba. Każdy z tych genjuszów, których ludzkość podziwia, był żywym wyrazem umysłowej pracy narodu, do którego należał. W narodach żyjących obudzają się od czasu do czasu prądy wybitne, które z początku nurtują pod życia powierzchnią, przez nikogo nie widziane, a przez nie wielu tylko odczuwane — dopóki nie przebiją się na zewnątrz i nie przyoblöką szat widomych. Zanim atoli najpiękniejszy kwiat błyśnie, aby najwznioślejszy owoc wydać, duch całego narodu ukazuje wpierw drobne kwiatuszki i owoce drobne, jakby zapowiedź nadchodzącej wielkości. Genjalnych prawodawców, wodzów, poetów, artystów, poprzedzał zawsze długi szereg talentów duchem im pokrewnych, a gdy wielcy zeszli z widowni, ci maluczcy długo jeszcze dźwigali brzemię ich spuścizny. Potem następowała chwila odpoczynku, póki duch nie wyszukał nowej formy, aby się objawić. Genjusze nie tworzą narodów — narody tworzą genjuszów.

Artur Grottger nie był zjawiskiem przypadkowem. Już przed nim mieliśmy kilkunastu artystów z wybitnym talentem, których wymieniać nie potrzebuję, bo ich nazwiska wszyscy pamiętają. Nie był on także ostatnim genjalnym artystą polskim, ponieważ tuż obok niego stanął nie mniej potężny Jan Matejko. Wierzę, że i ci dwaj razem wzięci, nie są jeszcze ostatnim wyrazem sztuki naszej. W ubiegłym lat dziesiątku zastęp artystów polskich powiększył się licznymi szermierzami, z których może wkrótce utworzy się legjon cały! A w tym legjonie czy nie znajdzie się jeden, który wszechstronnością talentu wzniesie się ponad Grottgera i Matejkę? Wielkim był Rafael Sanzio, i wielkim Leonard da Vinci, a jednak Michał Anioł czyż ich nie przewyższył potęgą swego genjuszu? Ja wierzę, że Grottger i Matejko są olbrzymiemi filarami, na których może w niedalekiej już przyszłości spocznie wspaniałe sklepienie polskiej sztuki. Nie chcę atoli przez to powiedzieć, aby talent Jana Matejki nie mógł być tem sklepieniem, tą koroną wspaniałą. Jako żyjący, na tej wyżynie i on stanąć może, postęp bowiem jest dziełem rąk człowieka, ale aby to nastąpiło, abyśmy jednomyślnie zawołali Hosanna! potrzebuje on stworzyć rzeczy pełniejsze, aniżeli te, któremi nas po dziś dzień obdarzył. Że dotychczasowe nie są „pełnemi arcydziełami“, a więc jako takie nie mogą być uważane za ostatni wyraz polskiej sztuki, która rozwijając się bez przerwy zapowiada nieskończenie wiele — to postaramy się udowodnić w niniejszem studjum.

Łatwiej pisać o artyście, który wymazany z księgi żyjących nic już nie stworzy, jak o tym, który żyjąc między nami, każdej chwili może nam przynieść nowy owoc pracy swojej. Działalność pierwszego zamknięta; drugi gotów nas jutro olśnić nową niespodzianką. Spisawszy na tem miejscu roku zeszłego uwagi moje nad utworami Artura Grottgera, zamierzyłem zebrać następnie wszystkie dzieła Jana Matejki, aby szczegółowo o nich pomówić. Tymczasem w ciągu kilku ostatnich miesięcy mistrz krakowski dał nam pięć nowych dzieł, z których do tej chwili zaledwie jedno miałem sposobność oglądać. Widząc że praca moja byłaby niezupełną, jeślibym pisał o utworach dawniejszych a zamilczał o nowych, postanowiłem rzucić tymczasowo tylko obraz ogólny, odkładając rozbiór szczegółowy do chwili stosowniejszej. Daleki od wszelkiej zarozumiałości i ambicji autorskiej, będę szedł za własnem okiem i poczuciem własnem, a jeżeli sąd mój nie zgodzi się wszędzie z sądem powszechnie przyjętym, to zechciejcie rozważyć, że jako człowiek mylić się mogę....

Będąc temi dniami w sali Domu Narodnego, gdzie „Iwan Groźny“ ściąga widzów tłumy, i słysząc dokoła okrzyki podziwu, nawet uwielbienia, których źródła należy tym razem szukać w krytyce krakowskiej, albowiem ona pierwsza nazwała „Iwana“ skończonem arcydziełem — powiedziałem sobie, że każdy, kto piękno ukochał, powinien wedle sił przyczynić się do określenia stanowiska, jakie Matejko w dziedzinie sztuki zajmuje. Sąd bowiem o nim jest bardzo podzielony. Jedni, a tych jest znaczna większość, prawie ogół, uważają go za alfę i omegę prawdziwego artyzmu; drudzy natomiast, a są to nieliczne wyjątki, widzą w nim tylko wielkiego kolorystę. Dał się wprawdzie słyszeć głos jeszcze trzeci, p. Chotomskiego w śp. „Tygodniku Wielkopolskim“, który Matejkę nazwał „partaczem“, ale ten przebrzmiał bez echa, jak przebrzmiewa wszystko co namiętne i bezpodstawne.

Nie trudno wytłumaczyć, dla czego Matejko nie został przez nas samych należycie oceniony. W Polsce talent przebija się z nadzwyczajną trudnością; ale jeśli raz przełamie lody czy to niechęci czy obojętności, to zapał dla zwycięzcy nie ma już potem granic. Pochodzi to głównie ztąd, żeśmy nadto próżni i nadto leniwi. Próżność podszeptuje, że każdy z nas powinien być wielkim, a wrodzone lenistwo nie pozwala na tę wielkość pracować. Ilekroć zatem pojawi się talent wybitniejszy, który przy pracy chce się dobić uznania, rzucamy się nań z całą namiętnością, jakby w obawie, aby nie wzbił się ponad nas, lub nie zajął miejsca, o którem sądziliśmy w obłędzie zarozumiałości, że dla nas było przeznaczone. Jeżeli talent walcząc wytrwale pokona tę niechęć i próżniaczej zawiści milczenie nakaże, to wówczas próżność osobista przemienia się w nas zaraz w narodową, i dumni z wielkiej jednostki, stawiamy ją ponad wszystkich genjuszów jakich ludzkość wydała. Inaczej postępują narody pracujące. Tam każdy wie, że praca może go daleko zaprowadzić, a więc nie zna zawiści i drugim przeszkód nie stawia; tam każdy ucząc się, wie także, że doskonałego nie ma nic pod słońcem. Czas, byśmy już raz wyparli się próżności osobistej, która jest matką zawiści, i szczerze zaczęli pracować, bo na tej tylko drodze pozbędziemy się próżności narodowej, która dziś robi nas śmiesznymi.

Ale wróćmy do rzeczy.

Z trudnością przebijał się Matejko, lecz gdy nareszcie pokonał niechętnych, wielkiem tem powodzeniem ogół tak się uczuł olśnionym, że odtąd nie ośmielił się nikt wystąpić przeciw niemu z najmniejszym nawet zarzutem. Ręczę, że gdyby Matejko dał był nawet bohomaza, skończonego bohomaza, ogół byłby jeszcze i wtedy wołał: arcydzieło! Wątpię by to uwielbienie bezgraniczne oddziaływało dodatnio na talent mistrza krakowskiego. W ostatnich czasach dostrzegliśmy w pracach jego, szczególnie w portretach, pewien zastój, pobieżność, lekceważenie sztuki, powiedziałbym nawet chylenie się do upadku, a czy odpowiedzialność za to nie cięży w wielkiej mierze na nas samych, to dopiero historja wyświeci. Człowiek jest słaby, w pychę łatwo się wbija, a błędów swoich pewnie nie dojrzy, jeśli ich nie widzi, lub widzieć nie chce całe jego otoczenie. W grzech nawet, jeżeli go ogół pochwala, można uwierzyć jak w cnotę. Nikt zre-

sztą nie zaprzeczy, że krytyka surowa, ale sumienna, nigdy tyle złego nie wyrządziła — co krytyka wszystko chwaląca.

Jan Matejko dał nam się poznać jako malarz historyczny, rodzajowo-historyczny, religijny, a wreszcie jako portrecista. Z wyjątkiem pejsażu, mamy więc w nim przedstawiciela wszystkich główniejszych gałęzi malarstwa. Najwyżej zaś stanął jako malarz historyczny, chociaż trudności w tej gałęzi są największe. Gdy atmosfera religijna cały cywilizowany świat oblewała, artyści pod jej wpływem wszechpotężnym malowali Madonny, Chrystusów, Magdaleny, Sądy ostateczne i epizody z życia Świętych. Ze zmianą prądów duchowych, nastąpiła zmiana w malarstwie, a miejsce zachwytów ascetycznych zajęła walka o prawdę i byt, starcie szczytnych usiłowań, walka pełna ludzkich cnót i ludzkich zbrodni. Wyrazem tej walki, tego pasowania się namiętności, jest malarstwo historyczne. Gdyby nas zapytano, któremu z nich dać pierwszeństwo, nie umielibyśmy odpowiedzieć. Każde z nich jest równie wielkie i równie trudne, bo jeżeli malarz religijny z XV stulecia potrzebował przelewać na płótno postacie pełne niebiańskiego zachwytu, — to dzisiejszy, historyczny, jeśli ma sprostać podjętemu zadaniu, musi stworzyć ludzi o silnych charakterach, na wskroś żyjących, a mimo to nie wyrwanych żywcem z natury, lecz podniesionych do wysokiej potęgi przy pomocy twórczej fantazji. Malarstwo z wieku piętnastego, to ustępy z epopei religijnej; malarstwo historyczne z czasów naszych, to sceny z wielkiego dramatu.

Jak nie każda scena z życia codziennego, gdyż są między niemi zbyt płaskie, może służyć za temat do obrazu rodzajowego, tak i nie każdy ustęp z dziejów może artyście służyć za temat do obrazu historycznego. W obrazie historycznym powinniśmy mieć uprzytomnioną jakąś wielką epokę, z której rodzi się nowe życie, lub przynajmniej nowy kierunek, bądź to całej ludzkości, bądź jednego tylko narodu. Kto umie wybrać takie chwile dziejowe ten jest prawdziwym malarzem historycznym. Takim jest Jan Matejko.

Dwa narody, Polska i Litwa, łączą się dobrowolnie węzłami braterstwa, aby wspierać się wzajemnie i wspólnie pracować. Chwila ta uroczysta, stanowiąca epokę w dziejach obu narodów — gdyż od niej pocznie się życie nowe. To „Unja.“

Polsce zagraża Moskwa. Elekcyjny król, sięgający myślą dalej, aniżeli sięga wzrok tych, co go otaczają, wyrusza na nieprzyjaciela, który dla Polski jest najniebezpieczniejszym, i na dłuższy czas łamie jego potęgę. Chwila to doniosła w życiu całego narodu. To „Batory.“

W Polsce bezład, anarchja; butna szlachta rozbija państwo i leci w przepaść — a za nią ojczyzna cała. Ale nie wszystko jeszcze stracone! Gdyby się teraz upamiętać chcieli, ratunek byłby jeszcze możliwym. Mówi im to mnich, kaznodziej, Jezuita — lecz oni go nie słuchają.... Odtąd zaczyna się nowa epoka, — upadek. To „Skarga.“

W Polsce możnowładcy sprzymierzyli się z obcem mocarstwem, z tem samem, które Stefan Batory gromił pod Pskowem, i z zimną krwią, z cynizmem ludzi przeżytych, których nic nie obchodzi, zaprzedają ojczyznę. Przedstawiciel szlachty uczciwej, kochającej kraj prawdziwie, opiera się tej zbrodni, ale opór jego kruszy się o potęgę panów. Oni zwyciężą, lecz ponieważ w Polsce są jeszcze ludzie, jak ten bohater zdeptany, więc Polska upadnie teraz, by kiedyś odżyć przy pomocy tych, którzy do zbrodniczego czynu ręki nie przyłożyli. To „Rejtan.“

Jak widzimy, Matejko wybiera chwile doniosłości prawdziwie dziejowej. Jeżeli do obrazów powyżej wymienionych dodamy „Bitwę pod Grunwaldem“, nad którą właśnie pracuje, a która co do znaczenia historycznego jest nie mniej ważną, to będziemy mieli przed sobą prawie całą historję Polski.

Pomysły do obrazów historycznych Jana Matejki tem potężniejsze przybierają kształty, ile że ich twórca pragnąc, by epoka żywo przed naszemi występowała oczyma, wprowadza zawsze do akcji wszystkie te postacie, które w danej epoce najgłówniejszą odgrywały rolę, chociaż nie było ich w danym czasie i miejscu, a bez których chwila dziejowa nie byłaby zrozumiałą. W tej samowolności, przeciw której występują wszyscy pseudokrytycy, leży największa genjalność Matejki, i gdyby cudzoziemcy znali tak historję naszą, jak my ją znamy, mistrz krakowski zyskałby jeszcze większe ich pochwały. Matejko nie idzie niewolniczo za historją, on jej nie ilustruje — on stwarza dzieła historyczne. Nie ten dobrym portrecistą, kto wiernie jak fotograf skopiuje naturę, ale ten, kto obok prawdy fizycznej nie zapomni o właściwym charakterze portretowanej osoby. Matejko nie fotografuje wypadków historycznych — ale przedstawia prawdziwy charakter dziejów.

Między żyjącymi malarzami nie widzimy żadnego, któryby w pomysłach był tak potężnym. Dla tego nie przesadzimy mówiąc, że w pomysłach do historycznych obrazów Jan Matejko jest „genjalnym.“ (C. d. n.)

Kobiety w Algierze.

Napisał

Dr. Jan Stella Sawicki.

(Ciąg dalszy.)

Arab, płacąc posag, nie kupuje żony, lecz tylko zabezpiecza jej przyszłość. Jeżeli w rodzinie jest panna na wydaniu, ojciec naznacza posag, którego będzie wymagał od przyszłego zięcia swego, lecz oprócz tego mąż musi być odpowiedniego rodu i znaczenia. Wieluby zapłaciło dziesięć razy większy posag, żeby otrzymać rękę panny z dobrego domu, lecz ambicja i miłość własna ojca stawia temu przeszkody a nie interes, jeżeli uważa, że małżeństwo to nie jest odpowiednie. U Arabów nie bywa prawie nigdy małżeństw nierównych, bo każdy Arab w duszy jest arystokratą; on według religji swej jest wyższy nad wszystkie stworzenia ziemi.

Posag, który płaci pan młody, nie jest wielki w porównaniu z jego majątkiem i wręcza się ojcu panny młodej, nie na użytek jego, lecz pod jego opiekę, posag ten bowiem należy do kobiety, jeżeli owdowieje, lub weźmie rozwód z mężem, a sędzia uzna męża winnym rozwodu.

Miłość własna Araba jest tak wielką, że ojcowie nieraz wyrażają w akcie małżeńskim podwójną i potrójną kwotę, jak otrzymali, żeby pokazać, jak wysoko cenią siebie i swoją rodzinę, chociaż to naraża ich na to, że w wypadku rozwodu, do którego dała powód córka ich, muszą oddać mężowi całą kwotę w akcie wymienioną.

Arabowie są bardzo zmysłowi. Zakochani są zdolni do największych ofiar i szaleństw; a gdy napotkają kobietę godną miłości, gotowi dla niej do wszelkich poświęceń.

Nie zważając na bardzo obszerne prawa, jakie mają mężowie nad żonami, niektóre zwyczaje od dawna stały się hamulcem ku powstrzymaniu tyranji mężczyzn. Kto naprzykład uwierzy, że jeszcze za panowania Turków w Algierze wszedł zwyczaj, że w miastach jedne żony tylko mogą wychodzić wieczorem na tarasę domów dla użycia świeżego powietrza; mąż, który by się tam pojawił, zasłużyłby na pogardę ogólną i pośmiewisko mieszkańców; zwyczaj ten pozwala sąsiadkom wchodzić w stosunki i pomagać kochankom przechodzić z domu do domu. Lecz to jeszcze nie wszystko: w każdym arabskim domu jest pokój oddzielny, do którego mąż nie ma prawa wchodzić, bo jest przeznaczony do przyjmowania odwidzin sąsiadek, których mąż nie może widzieć bez zasłony; inaczej bowiem zasłużyłby na nazwę grubjanina, człowieka bez wychowania, godnego pogardy. Rozumie się, że nieraz w tych kryjówkach, przeznaczonych dla przyjaciółek, znajdowali schronienie kochankowie całe dni i tygodnie. Jeżeli dodamy do tego, że kobieta idzie do łaźni, do meczetu i odwidza przyjaciółki sama tylko, będziemy musieli przyznać, że swoboda kobiet u Arabów nie jest czczem słowem. Żałuję, że nie znając historji wewnętrznego życia, nie mogę podać przyczyny, która zmusiła do takich wielkich ustępstw z przywilejów władzy mężowskiej.

Obyczaje północnej i południowej części Algieru w stosunku do ich kobiet, tak mało różnią się między sobą, że nie można ich dzielić na dwie kategorje; w ciągu opowiadania, jeżeli będzie potrzeba, wskażę jaka jest różnica między pierwszemi a drugiemi.

W życiu domowem kobieta arabska obciążaną jest wszystkiemi robotami tyczącemi się wychowania dzieci i gospodarstwa; ona pracuje daleko więcej jak mężczyzna, bo ten uprawia rolę, pasie trzodę i chodzi na rynek dla zakupienia obcych wyrobów lub przedania swoich, poczem odpoczywa spokojnie patrząc na otaczającą go przyrodę. Kobieta zaś panuje w domu i namiocie, ona przygotowuje strawę, tka burnusy dla męża i dzieci, przygotowuje tkaninę na namioty, na uszycie worów i na nakrycie koni. Wtrącać się w jej obowiązki liczy się za największe brutalstwo ze strony męża. Jeden z naczelników biór arabskich opowiadał następny wypadek:

„Przedemną stanęła młoda kobieta z kilku krewnymi i świadkami prosząc o rozwód z mężem. Na zapytanie, jakie są powody zmuszające ją do tego kroku, odpowiedziała:

— Nigdy w niczem nie przewiniłam przeciw mężowi, a on mnie obraża nieustannie niedowiarstwem swojem i wystawia mnie na pośmiewisko całego plemienia. Dłużej tak żyć nie mogę. Wyobraź pan sobie, że gdy zsypuję mąkę do worków, mąż zawsze stoi nademną i przypomina, kiedy przestać, jakbym ja tego sama nie widziała. Jestem jedyną kobietą w duarze, której tak mało dowierzają; wszyscy się ze mnie śmieją, więc chociaż kocham męża, muszę go porzucić, bo on nie ma żadnego prawa obrażać mnie takiem obejściem się i wystawiać na pośmiewisko.

Dowiedziawszy się, że obwiniony małżonek robił to ze skąpstwa, chociaż był bardzo przywiązany do żony swojej, naczelnik bióra wziął

od niego słowo, że na przyszłość będzie więcej ufał żonie, a dla zupełnego przejednania żony kupi jej srebrne bransolety i zwierciadło.“

Europejczycy błądzą porównywając stan kobiet naszych ze stanem kobiet arabskich, bo cywilizacja nasza zupełnie się różni od cywilizacji arabskiej. U nas patrzą na kobietę jak na słabe stworzenie, której celem życia, przeznaczeniem i jedynem zajęciem jest gospodarstwo domowe i wychowanie dzieci. U nas kobiecie dają zupełnie inne wychowanie jak mężczyźnie, odejmując jej wszelką możność współdziałania na polu nauki i życia publicznego. Wyjątki są rzadkie i popierają tylko nasze zdanie. Z kobietą u nas mówią tylko o rzeczach małej wagi, z nią się bawią, z nią tańczą, do niej się zawsze odzywają z uśmiechem na ustach. Lecz w rzeczach ważnych, w zebraniach ludzi stanu, w towarzystwach dyplomatycznych i handlowych, czy kto wspomni kiedy o kobiecie? A gdyby powiedział „o zdaniu swej żony,“ żarty i śmiech przerwałyby jego mowę. Kobieta nasza wpływa na towarzystwo tylko pośrednio przez zmiękczenie obyczajów.

Araba nie spotkacie nigdy przechadzającego się z żoną swoją pod rękę, bo to okazuje zniewieściałość, i jest nieprzyzwoitem według jego zdania, ale za to żona jego przyjmuje udział we wszystkiem: w zabawach i uroczystościach, w radach i zebraniach, na wojnie i przy rozdziale zdobyczy. Jej zdanie jest tak poważanem jak zdanie mężczyzny i nieraz kobiety rządzą plemieniem, nieraz nauczają naród o rzeczach religji, nieraz przewodniczą w najzaciętszych walkach.

Szczególny szacunek dla kobiet znajdujemy u Arabów i Kabilów w niektórych zwyczajach, narodowych podaniach i przesądach. Wskazują one z jakiej poetycznej strony patrzą te dzieci pustyni na kobiety swoje. I tak naprzykład: przed wyjściem karawany w daleką podróż, lub przed odjazdem mężów, mężczyzni muszą prosić o błogosławieństwo matek, a żony ich leją wodę na grzbiet wielbłądów z życzeniem, żeby wody nigdy nie zabrakło w stepach. Tylko kobieta, powiada Arab, może wypełnić ten obrządek, bo ona jest kochającem stworzeniem.

Mąż nie żegna się nigdy z żoną przed najniebezpieczniejszą wyprawą „żeby nie stracić otuchy i męztwa.“

Ciągłe błogosławieństwo będzie towarzyszyć podróżnym i pożądany skutek uwieńczy ich przedsięwzięcie, jeżeli pierwsza osoba spotkana w drodze jest piękną kobietą. Do niej i do pierwszej, która radośnem pozdrowieniem przywita powracających, część plonu należy.

Kobiety, które towarzyszą mężczyznom w wycieczkach, otrzymują równą ze wszystkimi część zdobyczy.

Ciągłe obcowanie z bogatą przyrodą rozwinęło w Arabach silne uczucia i pojęcia o piękności. W ich marzeniach, w ich śpiewach i opowiadaniach kobieta zawsze jest otoczona najświetniejszą aureolą: jej postać podobna do zgrabnej postaci łani, jej usta — korale, jej zęby — to kość słoniowa, jej brwi — litera nun (⁀) w Koranie, jej włosy — czarne pióra strusia, jej pierś — śniegi Dżebel-Amura, a jej oczy — oczy gazelli....

I nic dziwnego. Kobieta arabska, najniższego nawet stanu nosi na sobie piętno nadzwyczajnej poezji. Brzmienie jej głosu zachwycające, ruchy pełne wdzięku i szlachetności; rysy piękne, regularne; mowa malowniczą; takt i delikatność w zachowaniu się ze wszystkiemi. Nigdy tam nie usłyszycie nieskromnej ciekawości względem przychodnia, jego celów i zamiarów, bo gość w domu jest świętą osobą i nie wolno zrobić jej najmniejszej przykrości. Tak bogato uposażone kobiety od przyrody muszą mieć i mają wielki wpływ na mężczyzn. Kto jest naprzykład największym nieprzyjacielem zmiany życia w namiotach, na życie w kamiennych domach, jeżeli nie kobieta? Ona nie chce klatki, nie chce więzienia z żelaznemi zamkami, bo lubi przyrodę, na którą może spojrzeć kiedy chce, podniosłszy tylko płótno namiotu, bo lubi patrzeć na wschód i zachód słońca, nad nieprzejrzanemi stepami, na niebo pokryte gwiazdami; bo lubi cudne noce południowe, czyste powietrze, którem oddycha i które wzmacnia piersi jej dzieci.

A miłostki w stepach!... Na długo one jeszcze wstrzymają zmysłowych mieszkańców pustyni od zmiany pomieszkania w namiotach na pomieszkanie w domach. Miłostki te są pełne niebezpieczeństw i pełne uroku.

Arab zakochany, rozmówiwszy się oczami z przedmiotem swej miłości, udaje się do pośrednictwa starej jakiej kobiety i prosi, żeby ona powiedziała kochance jego o miejscu schadzki. Ale spełnić życzenie nie tak łatwo, bo według zwyczaju, kobiety mogą oddalić się z namiotu tylko po wodę, po drzewo, a wtedy zawsze idzie kilka razem i w takie miejsca, gdzie mężczyznie pokazać się nie wolno pod groźbą ostrej kary. W nocy więc tylko kobieta może się spotkać z kochankiem w oznaczonem miejscu. Wymknąć się z namiotu nie jest rzeczą trudną: jedna połać płótna podjęta i kobieta wolna! Jakże jej zmienić takie dogodne mieszkanie na kamienne ściany, drewniane drzwi i żelazne zamki....

Nie zawsze jednak miłostki są tak łatwe, bo często kobieta nie może wyjść z namiotu, a więc kochanek udaje się do mieszkania swojej lubej, w nocy. Dowiedziawszy się o miejscu, gdzie ją zastanie, młodzieniec musi poznajomić się wpierw z psami, temi wiecznemi stróżami namiotu. Przez przeciąg wielu dni potrzeba je karmić, być przez nie znanym i to pokryjomu, bo gdyby mąż zauważał, natychmiast zaniósłby skargę przed kadiego lub sąd krewnych. Nakoniec gdy i ta trudność przezwyciężona, kochanek znajomy z psami, upewniwszy się, że się nie omyli co do miejsca gdzie zastanie kochankę, w noc ciemną udaje się na wycieczkę. W pewnem oddaleniu od namiotu zdejmuje burnus i haik i wszystko co mu zawadzać może, kładzie się na ziemię i z puginałem w ręku pełznie ku namiotowi. Kochanka przedtem już wyjmuje kołek przypinający płótno do ziemi i młodzieniec wpełza do namiotu. Strach jest mniejszym jak siła namiętności w młodem sercu!...

(C. d. n.)

O naturze i harmonji barw

napisał

Stanisław Kramsztyk.

(Dokończenie.)

Najważniejszą bezzaprzeczenia i najogólniejszą zasadą, jaką posiada dotychczas teorja harmonji barw, jest zgodność (konsonans) barw dopełniających. Barwy dopełniające stanowią najdokładniejszą zgodność barwną, najbardziej zadawalające połączenie dwu kolorów. Z dwu bowiem barw zestawionych, każda wpływa na osłonięcie drugiej barwy względem siebie dopełniającą, to jest w tym razie, powleka ją własnym jej tonem. Każda przeto barwa zostaje tu przez drugą wzmocniona, jej ton się nie zmienia, podczas gdy przy każdem innem połączeniu ton barwy jednej przez przymieszkę barwy dopełniającej względem drugiej ulega mniej lub więcej silnemu zboczeniu, a jej nasycenie staje się słabszem przez przystąpienie bieli. Nadto oko zmęczone rozpatrywaniem jednej barwy, orzeźwia się i wzmacnia działaniem barwy dopełniającej.

Tak blondynka każda wie dobrze, że do jasnej barwy jej twarzy i włosów najlepiej przypada jasna dopełniająca barwa niebieska, gdy brunetka ciemno-pomarańczową płeć swoją jeszczeby bardziej zaciemniła odzieżą niebieską.

Niektórzy wprawdzie uważają zestawienie barw dopełniających za zbyt jaskrawe, gminne i nieprzyjemne; Brücke tłumaczy to wszakże albo niedokładnym doborem barw, albo też naprowadzeniem ich na niestosowne materjały. Kontrast istotny występuje tylko przy zachowaniu między dopełniającemi się barwami zgodności pod względem jasności i nasycenia. Najdokładniej dopełniające barwy otrzymać można za pomocą „schistoskopa“ Brückego, polegającego na tej zasadzie, że tafelka gipsu krystalicznego dzieli promień światła przez nią idący na dwie części rozchodzące się, które jako powstałe z promienia światła zwykłego, zawierać muszą barwy nawzajem się dopełniające; stosownie do grubości listka gipsowego barwy się zmieniają, a niepodobna sobie wyobrazić milszego dla oka wrażenia barwnego nad to, jakie ono znajduje w barwach schistoskopu. Przyrząd taki korzystnie nadawać się może dla każdego, co ma do czynienia z łączeniem różnych barw, gdyż tu do każdej barwy odszukać może jej barwę dopełniającą, najpiękniej do niej przystającą, a przez bezpośrednie działanie przyrody wytworzoną.

Barwy jednak dopełniające, jakkolwiek stanowią najwdzięczniejsze zestawienie barw, nie wyczerpują jeszcze wszystkich przyjemnych połączeń; znamy kombinacje barw po dwie, trzy i więcej, które wywołują wrażenie harmonijne, nie będąc wszelako dopełniającemi. Odszukanie różnych tych kombinacyj zajmowało wielu pracowników; dawniejsi wychodzili tu w ogólności z analogji światła i dźwięku, a niektórzy (Radicke) brali za podstawę harmonji barwnej stosunek liczebny między drganiami eteru, odpowiadającemi różnym barwom, — podobnie jak harmonja tonów polega na stosunku drgań powietrza, wywołujących różne tony. Hofmeister ułożył kilka oktaw barwnych, powprowadzał całe i półbarwy, tercje, kwarty i kwinty, nie osiągnąwszy jednak istotnego rezultatu. Unger ułożył skalę barw, w której dwanaście tonów barw miało odpowiadać dwunastu półtonom skali chromatycznej. Nie brakło też i urządzeń mechanicznych, które miały być tem dla oka, czem przyrządy muzyczne są dla ucha. Tak jezuita Castel urządził 1730 r. fortepjan barwny, gdzie za uderzeniem akordów mile brzmiących występowały barwy harmonijnie połączone, za wywołaniem zaś dyssonansów głosowych, ukazywało się złe zestawienie kolorów; — w nowszych czasach przyrząd ten udoskonalili Ruete w Lipsku i wspomniany już wyżej Unger w Wiedniu. Barwy występują tu na stosownej tarczy i otrzymujemy przyjemne ich połączenia, jeżeli zestawimy te barwy, których numera w szeregu barw zgadzają się z tonami, które ze sobą dają dobre akordy. Tak np.

pierwszy, piąty i ósmy ton skali chromatycznej dają akord najdoskonalszy, jak np. *c e g*; tak samo na tarczy Ungra pierwsza, piąta i ósma jego barwa dają doskonałą zgodność barwną — czerwień, zieleń i fijolet, które to zestawienie na obrazach mistrzów starowłoskiej szkoły często występuje. Jednak różne zestawienia barw, odpowiadające dysonansom dźwięków, nie zawsze sprawiają wrażenie nieprzyjemne, a zresztą, jak to już dosyć opowiedzieliśmy, całe to wiązanie harmonji tonów z harmonją barw jest naciągane i na naturze rzeczy nie oparte. Jakkolwiek w akordach tony występować mogą obok siebie, główną jednak rzeczą pozostaje następstwo tonów — melodja; barwy zaś w połączeniu występują obok siebie. Już dla tej jednej przyczyny harmonja barw opierać się musi na innych zasadach, niż harmonja tonów. Ale jakiemi być mają te zasady — dotąd nie wiemy. Chevreul, Adam i Brücke podali nam znakomite dzieła traktujące o harmonji barw, ale nikt nie doszedł do odkrycia prostych prawideł. Ostatnie z powyższych dzieł, Brückego „Fizjologja barw“, wyznaje otwarcie, że nie znamy jeszcze prawa, któreby rządziło wszystkiemi tu się odnoszącemi zjawiskami, i poprzestaje na wyliczeniu połączeń barw, które zgodnie z zasadami optyki, oraz z obrazami znakomitych mistrzów i wskazówkami estetyków, uważane być muszą za dobre lub niedobre.

Zestawień tych jednak wyliczać nam tu niepodobna, jak również nie przedstawia żadnych korzyści wskazanie podziałów, jakie autorowie tych dzieł wprowadzili przy rozważaniu harmonij barwnych. Jedną chyba tylko jeszcze zasadę mniej więcej ogólną wydobyć można, — że wrażenie każdej barwy podniesionem zostaje przez przymieszkę szarej, lub przez przerwanie jej barwą szarą. Światło bowiem szare jest słabem światłem białem, pobudza przeto włókna wszystkich trzech kategoryj jednostajnie i słabo, przez co wszystkie w jednakim stopniu zostają pobudzalnemi.

Ta jest może przyczyna, dla której wiek nasz, usunąwszy z życia panowanie barw bogatych i żywych, tak się lubuje w barwie szarej, przez którą słabe barwy łatwiej robić mogą silne wrażenie. Pisarz i popularyzator niemiecki, Paweł Reis, którego wyborny wykład fizyki obecnie wychodzi w polskim przekładzie, powstaje gwałtownie przeciw tej przewadze barwy szarej i wzywa rodaków swoich do powrotu do barw świetnych i żywych w odzieży, podobnie, jak one panują w sztuce i przyrodzie. Dzieci boleści i niedoli, nie możemy iść za głosem pisarza niemieckiego, lubo go pojmujemy:

„Bo choć ten czarny żupan, smutny przy siwiźnie,
Nosił i jasne barwy, gdy służył ojczyźnie.“

Wolimy wszelako zgodzić się z poglądem jednego z najznakomitszych współczesnych myślicieli, który w przewadze barwy szarej w odzieży widzi zgodność z poważniejszym nastrojem myśli dzisiejszego pokolenia. A zresztą, niech co chcą mówią narody tryumfujące, czas panowania barw jasnych jeszcze nie nastąpił; barwa szara, ta mięszanina światła z ciemnością, to połączenie barwy czarnej ze wszystkiemi możliwemi barwami, to najwierniejszy obraz naszego wieku gwałtownego, szarpanego i miotanego wśród tysiącznych, sprzecznych prądów. Może następne pokolenie zdoła usunąć ciemne strony dzisiejszego życia — a jaśniejsze swe życie jasnemi, żywemi, świetnemi otoczy barwami.

Warszawa 1875. *Stanisław Kramsztyk.*

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Rozdział XII.

(Ciąg dalszy).

(Naregulowanie zegarków. — Pencroff kontent. — Podejrzany dym. — Czerwony Potok. — Świat roślinny na wyspie Lincolna. — Świat zwierzęcy. — Górskie bażanty. — Pogoń za kangurami. — Aguty. — Jezioro Granta. — Powrót do „dymników.“)

Osadnicy wyspy Lincolna rzucili jeszcze ostatnie spojrzenie dokoła, poczem obszedłszy krater po wąskim jego węgle, znaleźli się w pół godziny później z powrotem na szczycie niższego ostrokręgu, przy nocnem koczowisku.

Pencroff mniemał, że była już pora na śniadanie i z tego powodu poruszył kwestję zregulowania obu zegarków należących do Cyrusa Smitha i korespondenta.

Zegarek Gedeona Spiletta, jak wiadomo, pozostał nietkniętym morską wodą, gdyż korespondent pierwszy wyrzucony został na piasek po za obręb fal morskich. Był to instrument wyśmienitej konstrukcji, prawdziwy chronometr kieszonkowy, starannie przez Gedeona Spiletta co dnia nakręcany.

Zegarek inżyniera stanął był oczywiście w czasie, kiedy się znajdował wśród wydm piaszczystych.

Cyrus puścił go więc w ruch i sądząc po wysokości, na której znajdowało się w tej chwili słońce, iż mogło być właśnie około dziewiątej, posunął wskazówkę na tę godzinę.

Gedeon Spilett chciał uczynić to samo, lecz inżynier przytrzymał go za rękę i rzekł:

— Zaczekaj, kochany Spilett. Zegarek twój idzie dotąd podług zegaru Richmondzkiego, — prawda?

— Tak jest, Cyrusie.

— A zatem zregulowany jest podług południka, pod którym leży to miasto; pod tym samym południkiem mniej więcej leży także Waszyngton?

— Bez wątpienia.

— Zostaw więc twój zegarek na tej godzinie, którą teraz wskazuje. Nakręcaj go jaknajregularniej, lecz nie zmieniaj wskazówek. To nam się może przydać.

— Na co u licha? pomyślał marynarz.

Poczem wzięli się do jedzenia i to z takim apetytem, że resztki zwierzyny i surowych migdałów zniknęły do szczętu. Lecz Pencroff nie troszczył się tem wcale. Spodziewał się zebrać po drodze nowe zapasy żywności, i ani wątpił, że Top, który także otrzymał swą porcję, wyszuka w gąszczy leśnej nową zwierzynę. Zresztą zamierzał prosić po prostu inżyniera, ażeby sfabrykował proch i kilka strzelb, nie przypuszczając, ażeby to mogło podlegać jakim trudnościom.

Gdy zlazili z terasy niższego ostrokręgu, zaproponował Cyrus, ażeby wracać inną niż pierwej drogą. Ciekaw był poznać z bliska owo jezioro Granta, ujęte w tak przepyszne ramy z zielonych drzew. Puścili się więc grzbietem jednego z pobocznych pasm, między któremi musiało prawdopodobnie wytryskać owo źródełko wpadające do jeziora. W rozmowie ze sobą nie używali osadnicy nasi innych nazw, tylko świeżo przyjętych, co wielce ułatwiało im wzajemne porozumiewanie się. Harbert i Pencroff — pierwszy zupełne a drugi przez pół dziecko — nie posiadali się z radości i uniesienia. Marynarz rzekł:

— Hola! Harbert! Jak się to wybornie idzie! Nie podobna nam zabłądzić, mój chłopcze, bo czy pójdziemy na „jezioro Granta,“ czy też przez las „Zachodniej ręki“ ku „Dziękczynnej,“ zawsze musimy przyjść w końcu do „Wielkiej Terasy,“ a tem samem do „Zatoki Stanów Zjednoczonych!...“

Postanowili nie iść jedną gromadą, lecz także nie rozbiegać się zbyt daleko jeden od drugiego. Bardzo być mogło, że w tych tu gąszczach, któremi wyspa była zarośnięta, mieszkały niebezpieczne bestje, roztropność więc nakazywała mieć się na baczności. Najczęściej Pencroff, Harbert i Nab stanowili straż przednią, przed nimi biegł Top, myszkując po wszystkich krzakach. Korespondent z inżynierem szli razem, Gedeon Spilett z notatkami w pogotowiu; inżynier milczący, zbaczał tylko czasem zdrogi, ażeby podjąć i schować do kieszeni ten lub ów okaz mineralny lub roślinny, nie czynił jednak przytem żadnych uwag.

— Co on u licha tak zbiera? mruczał pod nosem marynarz. Ja przecież także patrzę, lecz nie widzę, nic takiego, po coby warto było się schylać.

Około dziesiątej drużyna nasza spuszczała się z ostatnich pagórków, stanowiących podnóże góry Franklina. Ziemia porosła była tylko krzakami i zrzadka porozrzucanemi drzewami. Pod nogami mieli grunt wapienny, żółtawy, który tworzył równinę na milę długą, sięgającą do samego krańca lasu. Olbrzymie bryły bazaltowe, które według badań Bischofa potrzebowały trzysta pięćdziesiąt miljonów lat, ażeby się oziębić, leżały tu i ówdzie na równinie, która miejscami zdradzała ślady podziemnych wstrząśnień. Nigdzie jednak nie widać było lawy, której potoki rozlały się były przeważnie po stokach północnych.

Cyrus Smith był już pewny, że szczęśliwie dotrze do strumyka, który zdaniem jego, musiał pokazać się między drzewami, na końcu równiny, gdy wtem ujrzał pędzącego ku sobie Harberta, podczas gdy Nab i marynarz skryli się po za skały.

— Cóż tam nowego, mój chłopcze? zapytał Gedeon Spilett.

— Dym!... odparł Harbert. Ujrzeliśmy dym wznoszący się między skałami, na sto kroków od nas.

— Mieliżby to być ludzie? zawołał korespondent.

— Nie pokazujmy się, dopóki się nie dowiemy, z kim mamy do czynienia, rzekł Cyrus Smith.

Nie wiemy, czyli ta wyspa posiada jakich mieszkańców, lecz co do mnie obawiałbym się raczej, niż życzył sobie tego.

— Gdzie Top?

— Pobiegł naprzód.

— Nie szczeka?

— Nie.

— To dziwna. Lecz spróbuję go przywołać.

W kilka minut później inżynier, Gedeon Spilett i Harbert połączyli się z tamtymi dwoma towarzyszami i podobnie jak oni, ukryli się po za bryły bazaltowe.

Ztąd ujrzeli wyraźnie dym pędzący kłębami w niebo, dym, który znamionował kolor żółtawy. Top na lekkie gwizdnięcie swojego pa-

na, powrócił, a inżynier dawszy towarzyszom znak, ażeby czekali na niego, podkradł się chyłkiem między skały.

Wyspiarze nasi z pewnym niepokojem oczekiwali wyniku tych zwiadów, w tem usłyszeli wołanie Cyrusa i pędem pobiegli ku niemu. Przybiegłszy w to miejsce, gdzie stał Cyrus, uczuli przedewszystkiem bardzo ostry i nieprzyjemny zapach rozlany w powietrzu.

Zapach ten, łatwy do zrozumienia, wystarczał inżynierowi, ażeby domyśleć się, skąd pochodził ów dym, który z razu, nie bez przyczyny, musiał go nieco zaniepokoić.

— Ogień ten, rzekł, albo raczej dym jest wytworem samej przyrody. Pochodzi ze źródła siarczanego, które nam dostarczy skutecznego lekarstwa na wszystkie suchoty gardlane i płucowe.

— Brawo! zawołał Pencroff. Jaka szkoda że nie mam kataru!

Wtedy osadnicy nasi udali się na miejsce, ztąd się wznosił ów dym. Tu ujrzeli źródło siarczane, tryskające dość obficie wśród skał, którego wody pochłaniając tlen atmosfery, wydawały silną woń kwasu siarczanego.

Cyrus Smith zanurzywszy weń rękę, uczuł, że woda ta była dość lepką, a skosztowawszy ją przekonał się, że miała smak słodkawy. Temperaturę jej ocenił mniej więcej na dziewięćdziesiąt pięć stopni Fahrenheita, a zapytany przez Harberta, na czem opiera to obliczenie, odparł:

— Całkiem po prostu, moje dziecko, na tem, że zanurzywszy dłoń w tę wodę, nie uczułem ani zimna ani ciepła. To dowodzi że posiada ona tę samą temperaturę, co ciało ludzkie, t. j. mniej więcej dziewięćdziesiąt pięć stopni.

Ponieważ źródło siarczane w tej chwili nie mogło im przynieść żadnego rzeczywistego pożytku, porzucili je przeto i skierowali swe kroki ku leśnej gęstwinie, ciągnącej się kilkaset kroków ztamtąd.

Tu, jak słusznie domyślał się inżynier, toczył strumień swe bystre, kryształowe wody ujęte w wysokie brzegi z czerwonej ziemi, której kolor zdradzał wyraźnie, iż zawierała w sobie niedokwas żelaza. Z tego powodu nazwali zaraz ten strumień „Czerwonym potokiem.“

Zresztą był to tylko strumień szeroki, głęboki i przezroczysty, powstały z wód górskich, przez pół rzeka a przez pół potok, który miejscami pełzając leniwie po piasku, a miejscami hucząc po skałach i spadając w kaskadach, płynął do jeziora wstęgą długą na jedną milę, a szeroką od trzydziestu do czterdziestu stóp. Woda jego była słodką, co uprawniało do przypuszczenia, że taką musiała być także woda w jeziorze. Była to okoliczność nader pomyślna, na wypadek, gdyby im się udało nad brzegami jego wynaleść lepsze mieszkanie od „dymników.“

Drzewa, które począwszy na kilkaset stóp niżej, z obu stron ocieniały brzegi strumienia, należały do gatunku bardzo rozpowszechnionego w umiarkowanej strefie Australji i Tasmanji. Nie były to więcej te same drzewa szyszkowe, które rosły na znanej już naszym osadnikom części wyspy, kilka mil od „Wielkiej Terasy.“ O tej porze roku, z początkiem kwietnia, który na tej półkuli świata odpowiada październikowi, a zatem na początku jesieni, nie były jeszcze ogołocone z liści. Były tam mianowicie Kazuarynasy i Eukalyptusy, niektóre z tych drzew powinne były na przyszłą wiosnę dać mannę cukrową, zupełnie podobną do manny wschodniej. Na polankach wznosiły się grupy cedrów australskich, a polanki te porośnięte były wysoką trawą, której gatunek znany jest w Nowej Holandji. Rzecz dziwna, że drzew kokosowych, w które tak obfitują wyspy Cichego Oceanu, nie było tu wcale; snać położenie tej wyspy musiało być zbyt niskie.

— Jaka szkoda! rzekł Harbert, takie użyteczne drzewa a tak wyborne rodzą orzechy!

Między szczupłemi nieco gałęziami eukalyptusów i kazuarynasów gnieździły się rozmaite rodzaje ptaków, używając między niemi swobodnie skrzydeł. Kakatoisy czarne, białe i popielate, papugi rozmaitego gatunku i pierza, zielone, czerwone i modre, ukazywały się oczom wędrowców jakby przez pryzmat i wśród głośnego pisku i szczebiotania skakały z gałęzi na gałęź.

Nagle zabrzmiała w gęstwinie dziwaczna muzyka przeraźliwych, poplątanych tonów. Osadnicy usłyszeli po kolei śpiewanie ptaków, głosy czworonożnych zwierząt i rodzaj bełkotania, które można było wziąć łatwo za mowę dzikich ludzi. Nab i Harbert, zapominając o głównych zasadach ostrożności, rzucili się w te krzaki. Na szczęście jednak nie było tam ani drapieżnych bestyj, ani dzikich ludzi, lecz tylko z pół tuzina owych ptaków, które razem śpiewają i naśladują rozmaite tony; poznali odrazu, że były to „górskie bażanty.“ Kilka celnych razów kostura zakończyło tę produkcję imitacyjną i dostarczyło naszym podróżnym parę sztuk wybornej zwierzyny na objad.

Harbert spostrzegł także przepyszne gołębie z bronzowemi skrzydłami, jedne ze wspaniałemi czubami, inne z zielonem pierzem, podobne do współ plemienników swoich z Port-Maccqarie; lecz nie podobna ich było zejść z bliska; ta sama trudność zachodziła także co do kruków i srok, które zrywały się całemi gromadami. Jeden nabój śrutu byłby z nich uczynił wielką hekatombę, lecz cała broń palna naszych myśliwców składała się z kamyków, a zaś broń sieczna z kosturów, system jej więc był zbyt pierwotny, ażeby mógł służyć do tak dalekich celów.

Niedostateczność uzbrojenia okazała się jeszcze wyraźniejszą, gdy naraz stado zwierząt pomknęło gęstwiną, w olbrzymich podskokach po trzydzieści stóp, istne czworonogi latające, z taką chyżością i w tak wysokich susach, że zdawało się, iż przeskakiwały z drzewa na drzewo, jak wiewiórki.

— To Kanguruh! zawołał Harbert.

— A można je jeść? zapytał Pencroff.

— Przyprawione we właściwy sposób, lepsze są niż najlepsza dziczyzna, odparł korespondent.

Zanim jeszcze Gedeon Spilett dokończył tych słów tak pełnych zachęty, gdy marynarz, Nab i Harbert puścili się w pogoń za kangurami. Cyrus Smith wołał na nich, ale na próżno. Lecz napróżno także gonili nasi zapaleni łowcy tę zwierzynę elastyczną i lotną jak piłka. Po pięciu minutach zadyszeli się a zwierzyna znikła w gęstwinie. Top nie był także szczęśliwszym od swoich panów.

— Panie Cyrus, rzekł Pencroff, gdy inżynier i korespondent połączyli się z nimi, panie Cyrus, sam pan widzisz, że trzeba koniecznie strzelb. Czy dałoby się to zrobić?

— Może, odparł inżynier, lecz tymczasem zaczniemy od fabrykowania łuków i strzał, a ani wątpię, że wkrótce będziesz się pan z tą bronią obchodzić równie zręcznie, jak łowcy australscy.

— Łuki, strzały! rzekł Pencroff pogardliwie. To zabawki dobre dla dzieci!

— Nie trzeba ich tak lekceważyć, mości Pencroff, odparł korespondent. Łuki i strzały przez całe wieki służyły do wylewania krwi. Proch istnieje dopiero od wczoraj, a wojny są tak stare jak rodzaj ludzki — niestety!

— Na honor, masz słuszność, mości Spilett, rzekł marynarz, ja zawsze coś powiem, nim się zastanowię. Trzeba być dla mnie wyrozumiałym!

Tymczasem Harbert, zapalony miłośnik historji naturalnej, skierował jeszcze raz rozmowę na kangury, odezwawszy się w te słowa:

— Mieliśmy zresztą do czynienia z gatunkiem „kangurów,“ które najtrudniej jest schwytać. To były istne olbrzymy, z długą popielatą sierścią. Lecz, jeśli się nie mylę, istnieją jeszcze kangury czarne i czerwone, kangury skalne, kangury podobne do szczurów, z któremi łatwiej dać sobie radę. Jest ich z jakie dwanaście gatunków...

— Harbercie, odparł marynarz sentencjonalnie, dla mnie istnieje tylko jeden rodzaj „kangurów pieczonych,“ a właśnie tego rodzaju będzie nam dziś w wieczór brakować!...

Wszyscy parsknęli śmiechem na tę nową klasyfikację pana Pencroffa. Dzielny marynarz nie ukrywał bynajmniej swego niezadowolenia, w dząc, że będzie musiał na objad kontentować się śpiewającemi bażantami; lecz szczęście miało mu się tego dnia jeszcze raz uśmiechnąć.

W istocie, Top, jakby przeczuwając, że jego własny interes był w grze, biegał i myszkował wszędzie z instynktem, zaostrzonym w dwójnasób pod wpływem wściekłego apetytu. Prawdopodobnie nawet, gdyby zwierzyna jaka wpadła mu była w łapy, nie wiele przyszłoby było z niej myśliwym. Top polował tym razym na własny rachunek, lecz Nab czuwał nad nim i dobrze zrobił.

Około trzeciej pies zniknął w zaroślach i w krótce przygłuszony pisk jakiś dał znać myśliwym, że Top znajdował się w zapasach z jakiemś zwierzęciem.

Nab rzucił się w tę stronę i w samej rzeczy ujrzał Topa, który z wielką żarłocznością zajadał jakiegoś czworonoga; dziesięć sekund później byłoby już niepodobieństwem rozróżnić do jakiego to zwierzę należało rodzaju. Na szczęście jednak pies wpadł widać na całe gniazdo i zamordował odrazu troje tych strzyżaków — gdyż do tego rodzaju należały te zwierzęta — a z tego dwie sztuki leżały uduszone na ziemi.

Wkrótce pojawił się Nab, trzymając w tryumfie po jednym strzyżaku w każdej ręce, mniej więcej tej wielkości co zając. Miały żółtą maść w zielonawe plamy upstrzoną, i ogon nader pierwiastkowej długości.

Mieszkańce Stanów Zjednoczonych ani chwili nie byli w kłopocie o nazwę przynależną tym zwierzątkom. Były to „marasy,“ rodzaj królików amerykańskich, mało co większe od gatunku rozpowszechnionego w krajach tropikalnych, z długiemi słuchami, pyszczki ich uzbrojone były z każdego oboku pięcioma trzonowemi zębami, co je głównie wyróżnia od „agutów.“ *)

— Hura! zawołał Pencroff. Otóż mamy pieczyste! Teraz możemy wracać do domu!

Po tej krótkiej przerwie ruszono dalej w drogę. „Czerwony Potok“ toczył bezustannie kryształowe

*) Gatunek myszy amerykańskich. (Przyp. tłum.)

swe wody pod sklepieniem z „kaznarynasów,“ „banksiasów“ i olbrzymich drzew gumowych. Przepyszne „liljacee“ wznosiły się na dwadzieścia stóp w niebo. Inne gatunki drzew i krzewów nieznanych młodocianemu naszemu przyrodnikowi, pochylały się nad strumieniem szemrzącym w tem powiciu z zieloności leśnej.

Tyczasem koryto jego rozszerzało się z każdym krokiem i Cyrus spodziewał się dojść wkrótce do ujścia. I w istocie, przedarłszy się przez gęstą grupę wspaniałych drzew, ujrzeli się nagle nad brzegiem jeziora.

Był to brzeg północny jeziora Granta. Oczom naszych wędrowców przedstawił się widok godny podziwu. Ta płaszczyzna wodna, licząca około siedm mil obwodu, a dwieście pięćdziesiąt „akrów“ przestrzeni, ujętą była w ramy z drzew rozmaitego gatunku. Na wschodzie przez zasłonę zieleni, malowniczo tu i owdzie ubarwionej, połyskiwało zwierciadło morza. Na północy brzegi jeziora tworzyły lekko zaokrąglony łuk, silnie kontrastujący z ostremi linjami wewnętrznych krawędzi. Liczne gromady wodnego ptactwa zaludniały brzegi tego małego Ontario, *) a owe „tysiąc wysp,“ któremi słynie amerykański jego imiennik, reprezentowane tu były przez skałę sterczące po nad powierzchnią wody, na kilkaset stóp od brzegu południowego. Na tej skale żyło w sąsiedzkiej zgodzie kilka familij zimorodków. Siedziały poważnie i nieruchomie na kamykach, czatując na podpływające ryby, nagle zrywały się z ostrym krzykiem, zanurzały się w wodę i po chwili wypływały na wierzch, unosząc w dziobach swą zdobycz.

Owdzie, po brzegach i na wysepce, rozsiadły się dumnie dzikie kaczory, pelikany, kruki wodne, czerwono-dzióby, filidony z języczkami jak pędzle i kilka wspaniałych „menurów“ z ogonami roztoczonemi w kształcie liry.

Woda jeziora była słodką, przezroczystą, trochę czarniawą i sądząc po gęstych bąblach, wypryskujących na wierzch wody i koncentrycznych kręgach rysujących się na jej powierzchni, musiało to jezioro być napełnione rybami.

— Zaiste, prześliczne jezioro! odezwał się Gedeon Spilett. Wartoby mieszkać nad jego brzegami!

— Będziemy tu mieszkali! odparł Cyrus Smith.

Ażeby najkrótszą drogą zajść do „dymników,“ dotarli osadnicy nasi aż do kąta, jaki tworzyły ze sobą brzegi jeziora na południu. Nie bez trudności torowali sobie drogę wśród krzaków i zarośli, nietkniętych jeszcze nigdy ręką ludzką, i kierowali się tym sposobem ku wybrzeżu, tak, ażeby dojść do północnego boku „Wielkiej terasy.“ W tym kierunku uszli całe dwie mile, a gdy minęli ostatnie grupy drzew, ukazała się ich oczom równina pokryta gęstą murawą i dalej za nią nieskończona płaszczyzna morza.

Ażeby dostać się do „dymników,“ potrzeba było przejść wskos całą równinę na milę długości aż do kolana, jaki tworzyła „Dziękczynna“ na pierwszym swym zakręcie. Inżynier jednak chciał się przekonać, w jaki sposób i którędy odbywał się odpływ wody z jeziora, puścili się więc dalej między drzewa, półtorej mili na północ. Nie można było wątpić, że musiał gdzieś istnieć spust wody, prawdopodobnie w jakiem wydrążeniu w skale. Jezioro to było tylko olbrzymią kotliną, która zwolna napełniła się wodą ze strumyka, zbytek wody musiał zatem koniecznie odpływać jakąś szczeliną do morza. W takim razie jak mniemał inżynier, możebnem by było zużytkować ten upust wody i siłę jej prądu, która inaczej pozostałaby bezużyteczną. Szli zatem dalej wzdłuż brzegu jeziora, w górę ku terasie, lecz pomimo, że uszli jeszcze całą milę w tym kierunku, Cyrus Smith nie mógł odszukać odpływu, który przecież musiał gdzieś istnieć.

Było wtedy wpół do piątej. Przygotowania do objadu wymagały koniecznie powrotu do „dymników.“ Drużyna więc nasza zwróciła się znowu w pierwotnym kierunku i lewym brzegiem „Dziękczynnej,“ Cyrus Smith z towarzyszami swoimi stanęli niebawem w „dymnikach.“

Rozpalono ogień, a Nabowi i Pencroffowi poruczono urząd kuchmistrzów. Obaj, pierwszy jako murzyn, drugi jako marynarz, czuli do tego powołanie. Nie bawiąc się długo, sporządzili pieczeń z „agutów,“ i całe towarzystwo uraczyło się do syta.

Po jedzeniu, gdy się już udawano na spoczynek, Cyrus Smith wyjął z kieszeni kilka drobnych minerałów rozmaitego gatunku, i odezwał się w te krótkie słowa:

— Przyjaciele moi, tu mamy żelazo, tu piryt, tu glinę, tu wapno a tu węgiel. Oto co nam daje przyroda i to jej udział we wspólnej pracy. Jutro przyjdzie kolej na nas!

(C. d. n.)

*) Wielkie jezioro na pograniczu Kanady i Zjednoczonych Stanów. (Przyp. tłum.)

Dlaczego?

O duszo moja! dlaczegoś tak smutną
Zawsze i wszędzie?
Życie ci szatą krępuje pokutną
Skrzydła łabędzie;
I darmo, darmo uśmiechy swe złote
W koło rozrzuca...
Wszystko cię tutaj pogrąża w tęsknotę
Wszystko zasmuca!

O duszo moja! jakieś inne światy
Widziałaś we śnie...
I ku nim ciągle, jak więzień z za kraty,
Rwiesz się boleśnie!
Bo tam tak pięknie dźwięczy pieśń pokoju
Słodka i cicha —
Tak kwiat istnienia u miłości zdroju
Szczęściem oddycha!

O czemuż ujrzeć te zaklęte kraje
Było ci dano?
Dzisiaj świat wyrok na ciebie wydaje,
Żeś obłąkaną!
Gdy się o wszystko zwyczajem podróżnych
Pytasz „Dlaczego?“
Gdy ci na widok radości ich próżnych
Łzy gorzkie biegą!...

I cóżeś winna, że twych uczuć struny
Tak dziwnie dźwięczą!..
Dlaczego huczą tak groźnie pioruny?
A wichry jęczą?
Czemu skowronek tak radośnie nuci?
Słowik tak smutnie?
Boska to ręka w różne tony kłóci
Stworzenia lutnię!

O duszo moja! Tobie padło w dziale,
W chórze tych głosów
Pieśnią tęsknoty świadczyć prawdy chwale,
Chwale niebiosów!
Więc cierpisz... cierpisz dokąd więzy ciasne
Ciała, nie zrzucisz...
I w znane światy, o! w te światy jasne
Jasna nie wrócisz!

Maj 1875.

Marja B

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

(Ciąg dalszy.)

Tom II.

ROZDZIAŁ I.

Dwie godziny jazdy koleją żelazną dzieliły Rymiszów od miasta, które było celem wyprawy pana Alfreda Zgorzelskiego; wyjechawszy wszelako po zachodzie słońca, nie mógł tam przybyć wcześniej, jak o godzinie pierwszej w nocy. Każdy człowiek nieuprzedzony przyzna, że nie była to pora do załatwienia jakichkolwiek interesów, i że p. Alfred nie mógł uczynić nic innego po przyjeździe swoim, jak tylko położyć się spać, co też uczynił. Nie mniej też, jak się spodziewam, przyzna każdy człowiek nieuprzedzony, że wstawszy nazajutrz rano, p. Alfred nie mógł w odpowiedniejszy sposób przystąpić do załatwienia swoich czynności, jak tylko przywołując faktora hotelowego, i polecając mu, ażeby na godzinę dwunastą sprowadził owego Bergera, a na godzinę pierwszą owego p. Gomułowicza, o których wiemy, iż powinni byli w szczególniejszym stopniu zwracać na siebie uwagę najprzystojniejszego z bohaterów niniejszej powieści. Jeżeli wszakże ów człowiek nieuprzedzony, do którego sądu odwołałem się już dwa razy, jest człowiekiem w istocie nieuprzedzonym, nie zaś czemś nakształt recenzenta teatralnego w piśmie politycznem, to przyzna on mi także, że młody i przystojny kawaler, wpadający raz na kwartał z ustronia wiejskiego do większego miasta, mógł mieć niejeden interes równie pilny, jak ten, w którym p. Alfred miał widzieć się z p. Bergerem i Gomułowiczem. I tak, w pierwszej linji, było rzeczą nieodzowną, ażeby p. Alfred wyszedłszy z hotelu, wstąpił do fryzjera i pozwolił mu spróbować, o ile też sztuka, choćby najbardziej rafinowana, zdoła odświeżyć i upiększyć tak świeżą i piękną naturę, jak ta, której okazem był p. Zgorzelski. Jego zdaniem, sztuka zrobiła fiasco w tym wypadku; zdaniem fryzjera atoli, dokazała cudów, zważywszy, iż pod dotknięciem jej palców, grzebieni, żelazek, nożyczek i kosmetyków, znikły wszelkie przedwczesne slady siwizny i łysiny, i piękność naszego bohatera zamiast męzkiego, dojrzalszego swojego zakroju, przybrała napowrót ową cechę młodzieńczą, jaką miewała przed laty. To też mimo niezupełnego zadowolenia, jakie pan Alfred wyraził mistrzowi, przypatrzywszy się sobie w zwierciedle, nie mógł on zaprzeczyć, że tak niebiańskie prawie kształty zasługiwały na otulenie jak najstaranniejsze, i jak najbardziej zastosowane do estetycznych pojęć, przeważających w Europie o tej porze roku. Ztąd, jak już dla samej konsekwencji przyznać musi człowiek nieuprzedzony, do którego odwołuję się bez przerwy, p. Alfred musiał koniecznie wstąpić do kapelusznika, do rękawicznika, a nakoniec, i co najgłówniejsza do krawca. Niejedno znalazło się gotowe i zostało nabytem po długiem próbowaniu i przymierzaniu, inne znowu przybory i ingredjencje wymagały zamówienia, po dokładnej konferencji z biegłymi w sztuce, i po nader szczegółowem wskazaniu im rozmaitych drobiazgów, których nie dostrzeże oko zwykłego śmiertelnika, a które, razem wzięte, stanowią prawdziwy szyk, polegający na połączeniu pozornej zwykłości i powszedniości z nienarzucającą się, niedostrzeżoną przez profanów, a tem samem w oczach znawcy większą wytwornością. Któż z gminu pospolitego

zdoła zdać sobie sprawę z tego, na ile guzików ma być zapięty tużurek służący do rannej wizyty, i o ile milimetrów mniej albo więcej ma być wyciętą kamizelka, której nie widać z pod niego? Wszak są ludzie do tego stopnia nie umiejący pojąć tajemnic garderoby, że wkładają np. przed objadem czarną krawatę z małym fontaziem, albo pojawiają się popołudniu z krawatą szalikową, zasłaniającą półkoszulek! Co więcej, widziałem raz na własne oczy człowieka we fraku, kraciastej krawatce, w kamizelce zapiętej na pięć, powtarzam, na pięć guzików, w cielęcych szwarcowanych bucikach, i w ciemnych, na honor! chachacha! w ciemno-brunatnych rękawiczkach, na tańcującym wieczorku! I to, zaręczam państwu, nie sam wieczorek tańcował, ale właśnie ów jegomość w kamizelce odsłaniającej o trzy centymetry kwadratowe mniej koszuli, niż tego wymagało uczucie najprostszej przyzwoitości! Ha, dzieją się rzeczy rano i w wieczór, o których się z pewnością *Szczutkowi* nie śniło, nie omieszkałby bowiem zapewne wychłostać ich należycie. Otóż łatwo pojąć że dla uniknięcia podobnie potwornych, delikatnie mówiąc, niewłaściwości, p. Alfred stracić musiał niemało czasu u kapelusznika, u rękawicznika, jakoteż, u artystów sztuki szwieckiej i krawieckiej. Dość, że gdy wychodził od krawca, było już pół do pierwszej, i jeszcze zapomniał udzielić mu niejednej informacji, którą później wypadło dodać ustnie lub listownie. Tymczasem, żołądek upomniał się o swoja prawa, a rozglądając się w około, p. Alfred spostrzegł dwie rzeczy. Po pierwsze, cukiernia najbardziej w całem mieście renomowana była tuż pod bokiem, a powtóre, ruch na ulicach odmiennym był od zwykłego. Krążyła, a raczej pędziła niemi lotem strzały nieskończona liczba kawalerskich ekwipażów, na czterech kołach i na dwóch, zaprzężonych parą lub czwórką koni, powożonych przez pachołków w liberji, lub przez dżentlmenów, więcej stojących niż siedzących na koźle, wysoko podnoszących łokcie u rąk dzierżących lejce i bicze, bystro patrzących przez monokle i wogóle całą postawą swoją dających do zrozumienia, iż zajęci są czynnością wielkiej wagi i niezmiernej doniosłości. Na oko, czynność ta polegała jedynie na tem, iż pomienieni dzentlmenowie przewozili swoich fornalów z jednej ulicy na drugą, lub też wywracali ich i siebie na zbyt nagłych skrętach, w gruncie atoli musiało to być coś więcej, bo wszyscy mieli miny niezmiernie serjo i wszyscy uganiali wielkim pędem, podczas gdy fornale siedzący za nimi z założonemi na piersiach rękoma, pełnymi byli uroczystego namaszczenia, jak gdyby lud tak pojął i odczuł słowa poety:

„W poświęcenia świętej dumie
Poprowadzi lud do bitwy,
Kto *powozić* lud ten umie....“

Oprócz tego, widać było konie w kapach, prowadzone luzem, i konie bez kap, na których przejeżdżali się stajenni lub jegomościowie mający pozór makinionów. Zoczywszy to wszystko, p. Alfred pojął od razu, iż trafił do miasta na sam dzień wyścigów konnych, dzień pospolitego ruszenia w całym eleganckim świecie, i w całym świecie ciekawym widoku elegancji, sportu, tłoku, i kurzu. P. Zgorzelski wstąpił tedy do cukierni, wypił kieliszek likieru, zjadł dwa paszteciki, i irytował się w duchu, iż hrabia Józio, jakoteż pan Pepi, dwaj ludzie największego tonu i szyku, zaledwie mu oddali szarmancki ukłon, któym ich przywitał, i nie troszcząc się o niego, rozmawiali dalej z oficerem od jazdy o szansach wygranej w głównym biegu. Obydwaj ci panowie nieraz w salonach dżokiej-klubu, mianowicie później w nocy, nie tylko nie gardzili towarzystwem p. Alfreda, ale poszukiwali go owszem, w tej chwili zaś zachowywali się wcale ozięble i tylko, o ile może być mowa o deklinacji w języku francuskim, deklinowali bardzo pilnie wyrazy: *Votre Altesse*, bo snać oficer od jazdy pochodził z bardzo wysokiego rodu. Zniechęcony p. Alfred chciał zapłacić i pójść, ale w tej chwili pokazało się, że nie posiada drobnej monety. To było powodem, iż wyjął z pugilaresu jeden z owych rysunków, które znalazł był w książce pożyczonej mu przez panią Helenę, i rzucił go od niechcenia na stół, prosząc, aby mu zmieniano tę sumę. Jakoś tak się zdarzyło, że w tej chwili kolej deklinowania *Votre Altesse* przyszła była na pana Pepiego, a hrabia Józio, włożywszy monokl w oko, miał czas przypatrzyć się p. Alfredowi.

— *Mais, vraiment, c'est vous, mon cher!* Na honor, nie poznałem cię — zawołał hrabia, zbliżając się do p. Zgorzelskiego i ściskając go serdocznie za rękę. — Kompletnie utyłeś na wsi! Nie do poznania,! No, ale przecie, przecie, pojawiłeś się na kursa.

— A, tak, chciałem zobaczyć, czyli też doprowadzimy do czego w tym kierunku. Nie mamy koni w kraju.

— Ale mamy osłów, — przerwał pan Pepi, który miał dyplom na człowieka dowcipnego, i to jak widzimy, dyplom niezbyt mozolnie zasłużony. Wszyscy naturalnie rozśmieli się z tego niezrównanego konceptu, podczas gdy pan Pepi witał się z Alfredem i wyzyskiwał dalej swój dowcip.— Ot, gdybyś ty wziął się do chowu koni, kiedy siedzisz na wsi, mielibyśmy przynajmniej nadzieję, że kiedyś doczekamy się mułów!

— Ej, Zgorzelski, jak sądzę, woli chować co innego, niż konie! — wtrącił hrabia.

— Przeciwnie, mam niezłą stadninę. Bez przechwałek, sądzę, że mój Thunderbolt mógłby pokusić się o wielką nagrodę, ale śniegi leżały w mojej okolicy do końca kwietnia i niepodobieństwem było tresować konie.

— Było tresować *en traineau!* zauważył p. Pepi, wywołując ogólne konwulsje śmiechu tym pseudo-kalamburem, który w kwadrans obleciał całe miasto, a w dwadzieściacztery godziny dotarł do najodleglejszych zakątków kraju, i stanowi dotychczas *deliciae generis humani* w jednej stronie świata.

— Spodziewam się, że idziesz z nami na objad do resursy? — zagadnął hrabia Józio. — Po objedzie, Pepi zawiezie nas swoim wózkiem na kursa. *Il faut le garder à vue*, — dodał zwracając się do Pepiego, i mówiąc o Alfredzie, bo inaczej, Melpomena złowi go natychmiast w swoje sieci.

— *Oh, oui, elle pêche volontiers*! — trysnął znowu p. Pepi ze swojego rewolweru kalamburowego.

— *Et cette fois, ce ne serait point un poisson d'Avril qu'elle aurait*, patrzaj co mu tu niosą pieniędzy!

W istocie, w zamian za jeden większy obrazek, cukiernik przyniósł teraz dwie garście mniejszych, ale zawsze bardzo powabnych. Trudno było wymówić się, są pewne względy towarzyskie, których pominąć nie można, jest to jeszcze jedna z tych rzeczy, którym nie zaprzeczy człowiek nieuprzedzony. P. Alfred poszedł tedy z hrabią Józiem i z panem Pepim na objad do resursy, a z tamtąd pojechali wszyscy na plac wyścigów, uzbroiwszy się w medale dające wolny wstęp aż pod same kopyta biegających rumaków. P. Alfred założył się z księciem Dunkelburgen, że Sheridan pobije Fatymę, i przegrał setkę, z powodu, iż Sheridan uciekł wraz z dżokiejem do stajni, a Fatyma sama obiegła arenę. Potem założył się z hrabią Kropiowskim że Sir Napier jest *thoroughbred*, i przegrał drugą setkę, zważywszy, iż urzędowe *pedigree* wykazało pochodzenie tego rumaka po Zbruczu od Łysej. We wszystkiem tem był fatalizm, którego istnieniu, żaden człowiek nieuprzedzony zaprzeczyć nie zechce i nie zdoła.

(C. d. n.)

ISMAILIA

przez

SAMUELA W. BAKER.

Opis ekspedycji do środkowej Afryki dla zniesienia handlu niewolnikami.

Spisał według oryginału angielskiego

K. H. ŚLEPOWRON.

(Ciąg dalszy.)

VIII.

Przybycie do Gondokoro.

Całe plemię Barisów jest bardzo zamiłowane w pasterstwie; hoduje ono liczne stada bydła, kóz i owiec. Gatunek bydła jest mały, prędki w biegu, z rodzajem garbu na karku, z którego mięso należy do najdelikatniejszych, to też mieszkańcy często wyrzynają bydlętom te garby za życia, a garb później odrasta. Na noc stada zapędzają do rodzaju oborników, zwanych z a r i b a lub k r a a l, które są otoczone rozległem ogrodzeniem, z grubych palów, na osiem stóp wysokich, z drzewa bardzo podobnego do hebanu, nader twardego, które Arabowie nazywają A b d n u s. Pale te są jak można najgęściej wbijane, i oplatane cierniami, które gdy wyschną, uniemożliwiają przejście. Wejście do tak zabezpieczonej obory, jest nader wąskie, tak, że jedna tylko sztuka może się naraz zmieścić; tym sposobem stado przy wpędzaniu, łatwo może być policzone. W obrębie ogrodzonym znajduje się zwykle kilka chat, i mały budynek przeznaczony dla cieląt; owce i kozy mieszczą się w odrębnych ogrodzeniach.

Wszystkiemi czynnościami Barisów, kieruje odgłos bębna, który jak trąbka wojskowa, wzywa do różnych zajęć. Wielki bęben Scheika wisi zawsze pod otwartą wystawą, zbudowaną tak, aby głos bębna, zabezpieczonego od deszczu, nietamowany rozchodził się daleko po okolicy.

Bębny wyrabiają murzyni z wielkim mozołem z drzewa spoistego, nie dającego się łupać; forma ich jest jajowata, a niektóre są tak duże, że aby je podnieść, potrzeba dwóch ludzi. Rano przed wschodem jeszcze słońca, suchy odgłos bębna rozlega się, dając znak pewną ilością uderzeń, że nadszedł czas dojenia krów. Kobiety i młodzi chłopcy spieszą wtedy do swych oborników, a gdy dojenie ukończone, nowe uderzenie bębna rozkazuje wypuścić bydło na pastwisko. W razie napadu nieprzyjaciela donośny bęben Scheika, odzywa się pewnym szeregiem uderzeń, bijąc alarm, zwołujący wojowników. Złowrogi ten sygnał, usłyszany we wsi sąsiedniej, jest w niej natychmiast powtórzony, a tak biegnąc głosem od jednej do drugiej osady, gromadzi w nader krótkim czasie

w miejsce zagrożone ludność całej okolicy, zdolną do stawienia oporu. Bronią Barisów są nadzwyczaj ostre dzidy, i strzały w zęby w dół zakrzywione, dla tem trudniejszego wyrwania z rany, przyczem ciało musi być mocno poszarpane; rzadko zaś używają w wojennych wyprawach tarczy, która musi im przeszkadzać w celnem wypuszczaniu strzał z łuku, i tamuje swobodę ruchów.

Każdy Baris od dzieciństwa jest wojownikiem, mając ciągłą sposobność kształcenia się w tem rzemiośle, i od najmłodszych lat ćwiczy się w używaniu łuku i dzidy, a wprawa ich w strzelaniu i rzucaniu dzidą dochodzi do takiej doskonałości, że o trzydzieści kroków, w oznaczony punkt trafiają niechybnie, a chociaż łuki i dzidy nie dorównywają palnej broni, nie mniej jednak są one w ich rękach niebezpieczne, szczególnie w walce z moimi żołnierzami, którzy nie umieją celnie strzelać. Całe to plemię odznacza się silną, i wysoką budową ciała, które niczem nie okryte, jest tylko posmarowane popiołem, a podczas wielkich uroczystości, czerwoną glinką, zmięszaną z tłuszczem. Kobiety nie są wstrętne, rzeczywistą jednak piękność trudno spotkać; ubiór ich składa się z dwóch fartuszków, zrobionych z wyprawionej skóry, sięgających po kolana; jeden wisi na przodzie, drugi z tyłu; pod tem wierzchniem okryciem, noszą bardzo ładnie wyrobioną frendzlę, ze sznurków cienko uprzędzonej bawełny, przymocowaną rzemykiem; bogatsze mają frendzle z cienkich żelaznych kółeczek, misternie z sobą połączonych, co przypomina stalową koszulkę.

Na szczęście dla mojej wyprawy, plemię Barisów nie żyło w zgodzie z okolicznymi sąsiady, a jednak mimo tych zatargów, odkryłem po niejakim czasie zawiązujący się potajemnie sojusz Barisów z Gondokoro, z Barisami z Belinian. Często zauważyłem przechodzące kobiety, z koszykami na głowie, niosące sól z Gondokoro, a wracające zawsze z kozą na sznurze. Ważnym bardzo produktem tej okolicy jest wyborna sól, którą mieszkańcy tutejsi prowadzą znaczny handel z środkowemi okolicami, gdzie artykuł ten jest bardzo rzadki i cenny. Te powtarzające się często odwidziny, wzbudziły we mnie podejrzenie, zwłaszcza że starano się ukryć je przed nami; wiedziałem bowiem od Scheika, że jego wieś żyje w nieprzyjaznych stosunkach z sąsiednimi Belinianami. Z dyplomatycznych tych rokowań, wprawdzie żaden jawny wybuch nie nastąpił, obejście ich jednak było ponure, i unikające wszelkiej styczności, chociaż z drugiej strony nie przestawali przeganiać swoje bydło na nasze żyzne pastwiska, korzystając w ten sposób z opieki rządu egipskiego. Zabawną jest rzeczą widzieć te ich liczne stada, przebywające wpław rzekę, w ślad za przewodnikiem, który przodem płynie, podczas gdy inni pasterze kierują bydłem, bijąc je po rogach długim bambusem. W ten sposób dwa razy dziennie odbywają podróż, dostając się ze swych wysepek na brzeg przeciwległy; często jednak podczas takiej przeprawy ukryty krokodyl porwie jaką ofiarę.

Polityka tych nędzników zaczynała coraz jaśniej się przedstawiać; widziałem, że cała ich dążność skierowaną została ku zagłodzeniu żołnierzy, aby tym sposobem zmusić nas do odwrotu. Przedstawiłem w końcu energicznie Scheikowi, że rzecz to niebezpieczna, igrać ze zgłodniałym lwem, na co tenże przyjąwszy moje ostre napomnienie za żart, odpowiedział ze śmiechem.

— Jeśli wam potrzeba mięsa, ja wam dam przewodników, idźcie i napadnijcie jednego z mych sąsiadów, a zabrawszy mu bydło, będziecie na długi czas zaopatrzeni w żywność.

Wytłumaczyłem mu, że mnie nie zrozumiał, gdyż zamiarem moim nie jest krzywdzić tych, którzy mi nic złego nie zrobili, lecz kiedy on po raz ostatni odmawia mi pomocy, więc odtąd nie pozwolę, by ich stada pasły się na moich pastwiskach, i od dziś dnia, proszę by się ograniczyli na swoich wysepkach. Jednocześnie zaprosiłem oficjalnie Allorrona i Scheika z Belinian, by chcieli być świadkami uroczystości przyłączenia tej okolicy do Egiptu.

IX.

Uroczystość przyłączenia Gondokoro do Egiptu.

Ostatnich dni maja 1871 r. wszystko było przygotowane do tej uroczystości. Chorągiew Ottomańska powiewała zatknięta na środku ślicznie oczyszczonego z zarośli błonia, wznosząc się dumnie na osmdziesiąt stóp w górę. Armja moja złożona z 1.200 żołnierzy w lśniącej zbroi, defilowała z muzyką na czele, tworząc wspaniały szereg białych i czerwonych mundurów; za nimi ciągnęła się baterja, złożona z dziesięciu sztuk dział polowych; cały ten zastęp roztoczył się na błoniu, formując się w kompanje. Allorron i Scheiki z sąsiednich wiosek z podziwieniem przypatrywali się nieznanemu widokowi.

Sztab mój, złożony z porucznika Juljana Bakier, pułkownika Abd-el-Kader, z kilku oficerów i p. Higginbotham, powstrzymując skoki bystrych rumaków, jechał na doskonale podówczas wyglądających koniach, zatrzymując się u stóp chorągwi. Czekaliśmy póki defilujące szeregi nie sformują czworoboku, a artylerja nie zajmie stanowiska nad rzeką. Błyszczące rzędy bagnetów i jaskrawe uniformy, olśniewające robiły wrażenie na zdziwionych mieszkańcach; stali oni prawie w osłupieniu, przypatrując się na przemian to żołnierzom, to zwracając uwagę na tłum kobiet, mechaników i wioślarzy, z których każdy świątecznie był przystrojony.

Gdy szeregi stanęły nieruchomie na swoich miejscach, została głośno odczytana w imieniu wicekróla proklamacja, przyłączająca całą okolicę do Egiptu, a po skończonych formalnościach oficerowie z dobytemi pałaszami oddali honory wojskowe powiewającemu sztandarowi, żołnierze sprezentowali broń, a działa gęstemi salwami powitały wznoszący się znak królewskiej władzy.

Ukończywszy uroczystość, żołnierze wykonali jeszcze świetny atak na mniemanego nieprzyjaciela, wystrzeliwszy około dziesięć tysięcy ślepych nabojów, poczem wrócili do tymczasowego obozu założonego umyślnie na tę uroczystość. Tu rozbiegli się za danym sygnałem, aby porozpalać ognie i przysposobić wspanialszy niż zazwyczaj objad; był to może jedyny dzień wesołości, jaką mieli ci ludzie.

Na tylnym pokładzie mojego okrętu, zasiedliśmy tymczasem do objadu z całym sztabem i oficerami, w liczbie osiemnastu osób, podczas gdy koło stołu, ustawionego pod orzechem, zgromadzili się nasi Anglicy, spożywając roast-beef i prawdziwy plum-pudding, przywieziony w blaszanych puszkach.

Po objedzie udaliśmy się do głównego namiotu, w którym przysposobione były chłodne napoje, i latarnia magiczna dla zabawy naszych ludzi. Porucznik Bakier po mistrzowsku umiał przesuwać obrazy przed zdumionymi widzami, a że żaden z nich podobnej produkcji nigdy nie widział, sprawiła więc ogromne zadowolenie. Szczególniej przedstawienie Mojżesza przechodzącego z Izraelitami przez morze Czerwone, zrobiło ogromne wrażenie. Historja ta, dobrze znana Mahometanom, wywołała taki entuzjazm, że Mojżesz rad nie rad musiał produkować się dwa razy, i gdyby nie prędkie zamienienie obrazu na inny, musiałby w nieskończoność ciągnąć swój pochód przez morze.

(C. d. n.)

POGADANKI.

XXII.

Bez wielkiej wrzawy i ostentacji dokonano u nas temi dniami wielkiego dzieła: zniesiono operę polską we Lwowie, uważając ją jako zbytek nadto staroświecki na te postępowe czasy. Skromność nie pozwoliła sprawcom tego czynu nazwać rzeczy po imieniu, dlatego też, zamiast powiedzieć wprost, iż nie ma być opery, użyto cyrkumskrypcji. Sejm udzielił przedsiębiorstwu teatralnemu nadal tej samej co dotychczas subwencji, z warunkiem utrzymania przez cztery miesiące „opery“ — w ogóle, tj. bez dodatku, że ma ona być polską. Dodatek ten byłby zniszczył całą doniosłość tego znakomitego ustawodawczego aktu, zważywszy, iż nie ma polskich towarzystw operowych, któreby można sprowadzić na jeden „sezon“, i chcąc mieć operę polską przez cztery miesiące, potrzeba ją cały rok utrzymywać. Tak zaś jak rzeczy stanęły, pp. przedsiębiorcy mogą sprowadzić na zimę Niemców, Włochów, albo też i owych Moskali, którzy zrobili fiasco w Paryżu, ażeby „Życie za cara“ rozpalało w nas ogień zakordonowej lojalności... Mówią, że opera zwiniętą będzie zaraz po wyjeździe pani Czechowskiej.

Powodem tego kroku jest ów dziedziczny niedobór, który jak grzech pierworodny cięży na naszem przedsiębiorstwie teatralnem, nie dając mu żyć ani umierać. Zamiast poświęcić przedsiębiorców dla sztuki, poświęcono sztukę dla przedsiębiorców. Za 16.200 zł. będą mieli dokonywać tylko tego, czego dokonywano przed nimi za 4.200 zł. tj. dawać źle obsadzony dramat, niedostatecznie obsadzoną komedję, i farsę nie potrzebującą obsady. Chociażby nawet płacili fundacji skarbkowskiej 6000 zł. rocznie za salę, pozostanie im zawsze wsparcie dwa razy większe od tego, jakiego doznawała dawniej scena polska, pozwalając dyrektorom nietylko egzystować bez długów, ale nawet robić nieraz wcale nie złe interesa. Zobaczymy, jak rzeczy pójdą pod takiemi, o wiele korzystniejszemi warunkami, na teraz to tylko jest pewnem, że zwinięcie opery wywoła wielkie niezadowolenie w mieście, i że materjalne niepowodzenie przedsiebiorstwa zniechęciły już mocno artystów i cały personal teatralny.

* *
*

Druga reforma, świeżo zaprowadzona, porusza się na polu religijnem i została już opisaną w „Szczutku“ znakomitemi rymami. Mówią, że skasowano w kościele archikatedralnym lwowskim cześć oddawaną owej Matce Boskiej, pod której opieką Jan Kazimierz oddał był swojego czasu królestwo polskie, i o której lud śpiewa:

*

„Śliczna gwiazdo miasta Lwowa“

Obraz jej zasłonięto i zastąpiono posążkiem, sprowadzonym z Francji, ku wielkiemu zgorszeniu ludu wiernego dawnym tradycjom i obyczajom. Jak wszystkie nasze zgorszenia i oburzenia, tak to skończyło się na artykule humorystycznym, opiewającym „skargę Matki Boskiej“ na księdza, który ją skasował. Jest w tem może brak należytej rewerencji dla rzeczy świętych, ale pomysł i wykonanie udały się równie dobrze, jak swojego czasu owa skarga św. Jana na magistrat naszej stolicy, rozpoczynająca się narzekaniem:

„Biedny ja święty Jan jestem,
Przed Bernardynami stoję,
Chmielnickiegom się nie bał,
Magistratu się boję.“

Tym razem Matka Boska użala się, iż na jej miejsce sprowadzono jakąś „madam francuską“, co byłoby w istocie nader niesprawiedliwem i krzywdzącem, o ile to się da ocenić ze stanowiska świeckiego, i mogłoby dać powód do różnych zawikłań. Jest już mowa o secesji wiernych *en masse* z katedry do dominikanów, gdzie jest Matka Boska, która jeszcze w trzynastym wieku przemówiła po polsku do św. Jacka.

* * *

Podczas gdy u nas ucichło już o wydawnictwie „antologji poetów polskich“, pojawiła się jak przepowiedziałem — antologja taka w Lipsku u Brockhausa. Jest to czwarte, znacznie powiększone wydanie dzieła: „Der polnische Parnass — ausgewählte Dichtungen der Polen“, przez p. Henryka Nitschmana. Pierwsze trzy wydania rozeszły się od r. 1860 zupełnie. Tłumacz poprzedził swoją pracę krótkim rysem dziejów piśmiennictwa polskiego. Antologja zawiera między innemi przekład całej „Marji“ Malczewskiego, i to przekład wcale znakomity. Oto jest kilka wierszy na próbę:

„Hej, du Kosak, wem gilt dein schnelles Jagen?
Sahst du im Steppenmer ein flüchtig Wild?
Wilst tollkühn du, von Freiheitslust erfüllt,
Mit der Ukraine Wind den Wettlauf wagen?“

Tak to, nim we Lwowie zgodzono się, czy ma być wydaną antologja, jak ma być wydaną, i czy znajdzie nabywców, stało się to, co nam się dość często zdarza: wyprzedzili nas Niemcy. Najfatalniejszem zaś jest to, że trudno rozstrzygnąć, czy mamy być dumnymi, lub też, czy mamy wstydzić się z tego powodu?

Jan Lam.

Piśmiennictwo polskie.

WIADOMOŚCI O PISMACH ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

niezamieszczonych w lipskiem wydaniu Brokhausa.

Napisał

JULIAN KOŁACZKOWSKI.

W ostatnich latach zaczęły się mnożyć wydania zupełne dzieł najwięcej czytanych i lubianych pisarzy polskich. Wydania takie starali się wydawcy z małym wyjątkiem (n. p. dzieł Lelewela) zrobić jak najprzystępniejszemi dla czytającej publiczności, naznaczając za nie cenę jak najniższą. Do takich wydań zupełnych zaliczamy z nowszych: Brodzińskiego, Korzeniowskiego, Kraszewskiego, Lelewela, Mochnackiego, Fredry, Syrokomli i zapowiedzianych albo rozpoczętych: Bartoszewicza, Pola, Kaczkowskiego, Dzierzkowskiego, Henryka Rzewuskiego, pani Hoffmanowej, Goszczyńskiego i innych.— Wspominając o takich zupełnych wydaniach pisarzów polskich, zadziwia nas niemało, że się nie znajdą wydawcy, którzyby równie chętnie podjęli się zupełnego wydania pism tak zasłużonych i nieocenionych pisarzy polskich, jakimi są: Stanisław Staszyc, Hugo Kołłątaj i Julian Niemcewicz, a których dzieła dziś już do rzadkości bibljograficznych policzyć trzeba i śmiało rzec można, że mało jest takich, którzyby posiadaniem wszystkich utworów tych pisarzy poszczycić się mogli; z nowszych zaś: Michał Grabowski, Karol Szajnocha *) i Kaź. Władysław Wojcicki, których dawniejsze dzieła prawie w zupełności z handlu księgarski go wyczerpane zostały.

Z powodu więc wkrótce mającego wyjść we Lwowie nakładem pp. Gubrynowicza i Schmidta, zupełnego wydania pism ś. p. Zygmunta Krasińskiego, chcemy zwrócić uwagę pp. wydawców na mnóstwo wierszy umieszczonych po różnych czasopismach, rozpraw i dzieł drukowanych lub nigdzie dotąd niedrukowanych, które to utwory nie znajdują się zamieszczone ani w paryskiem ani w lipskiem wydaniu Brokhausa, a czynimy to jedynie ze względu, że pragnęlibyśmy, aby nowe to wydanie naszego nieśmiertelnego wieszcza, było nie takie jak wyżej wymienionych już wydanych pisarzy, z których oprócz może jednego Korzeniowskiego, żadnego innego dzieła nie są w zupełności wydane, (nie mamy tu na myśli wydań dopiero co rozpoczętych, gdyż o tych mamy nadzieję, że będą zupełne,) ale żeby wydanie to było najzupełniejsze, godne jenjuszu Krasińskiego, i ażeby żadna perła z jego utworów nie zaginęła.

Wprawdzie gdyby wszystkie te utwory odszukane i wydane zostały, dodawszy do tego istniejące trzy tomy wydania lipskiego, to wydanie takie powinno mieć nie dwa, jak zapowiedziano, ale co najmniej pięć tomów, nie licząc w to listów Krasińskiego, które wszystkie wydane, niezawodnie by się nie pomieściły w drugich pięciu tomach, słyszeliśmy bowiem, że są w rękach familji, i ma ich być do kilku tysięcy. W każdym razie pragnęlibyśmy ujrzeć i listy Zygmunta Krasińskiego wydane w zupełności i całości, a nie tak poobcinane bez rąk i bez nóg, jak wydany przez Konstantego Gaszyńskiego jeden tom wyjątków z listów Krasińskiego, a mamy nadzieję, że pp. wydawcy dołożą wszelkich starań, by edycja ta była w całem słowa tego znaczenia zupełną, przez co by sobie nietylko wdzięczność czytającej publiczności zjednali, ale i zasługę dla literatury położyli.

Utwory Zygmunta Krasińskiego nie znajdujące się w wyżej wymienionych wydaniach, dzielimy na cztery części, i tak:

A) Wiersze porozrzucane po różnych czasopismach. Do tych należą:

1) Wiersz p. t. „Wiersz ostatni“ zaczynający się od słów:

„Módl ty się za mnie, gdy z rozpaczy zginę,
Za winę ojców, i za własną winę.“ i t. d.

Wiersz ten napisany przed śmiercią poety do pani D. P. drukowany był w Dzienniku literackim z roku 1861, w numerze 36. Redakcji udzielony był przez Wiktora hr. Baworowskiego.

2) Wiersz p. t. „Łyżwiarze“ zaczynający się:

„Hej naprzód, łyżwiarze!“ i t. d.

drukowany był w Dzienniku literackim z roku 1861 w numerze 41.

1) Dzieła Szajnochy wyjdą w Warszawie. (Przyp. Red.)

3) Wiersz p. t. „Roma“ zaczynający się od słów:

„Przechodniu! spojrzyj po Rzymskiej ruinie“

drukowany był w Dzienniku literackim z roku 1859 numerze 101 i w dodatku do Czasu z roku 1859 z listopada. Wiersz ten nie był tak drukowany, jak go Krasiński napisał, ale samowolnie czy to przez Redakcję, czy przez cenzurę ówczesną został zmieniony; dopiero w roku 1872 we wrześniu był on drukowany we fejletonie Czasu w zupełności tak, jak go Krasiński napisał, i zaczyna się od słów:

„O Piękna moja! bądź błogosławiona.“

4) Wiersz p. t. „Ułamki“ na początek 1841 roku, zaczynający się od słów:

„Wierzę w nadzieję, miłość nieskończoną,“

napisany był z powodu sprowadzenia zwłok Napoleona, i drukowany w Czasie we fejletonie. Na rękopiśmie pisanym ręką Krasińskiego jest przy tytule napisano: Jul. Słowac. Co naprowadza na domysł, że Krasiński mógł mieć zamiar przesłać ten wiersz Słowackiemu, który także w tym przedmiocie wiersz napisał.

5) Wiersz bez tytułu zaczynający się od słów:

„Chciałbym spokojnie, lekko, bez boleści
Rozsnuć do świata wiążące mnie nici.“ i t. d.

drukowany był najpierw w Tygodniku illustrowanym w numerze 31 z roku 1868, powtórnie w Bibliotece warszawskiej za październik 1872, nareszcie w krakowskim Tygodniku mód i powieści z r. 1875 w numerze 6.

6) Wiersz bez tytułu zaczynający się od słów:

„Jak kawał lodu skrzepło serce moje“ i t. d.

napisany był w roku 1848 w jesieni i drukowany po raz pierwszy w Kronice rodzinnej z roku 1874 w numerze 13.

7) Wiersz p. t. „Pogrzeb Murada Baszy w Aleppo“ drukowany przez pomyłkę jako wiersz Zygmunta Krasińskiego w Tygodniu lwowskim, nr. 6. z roku 1874, nie jest Krasińskiego, ale Konstantego Gaszyńskiego, i znajduje się w pismach ostatniego umieszczony.

8) Wiersz p. t. „Chór Diabłów“ drukowany w poezjach pośmiertnych Zygmunta Krasińskiego wydanych przez Mieczysława Dzikowskiego w Poznaniu roku 1867, nie jest Krasińskiego, ale przyjaciela jego Konstantego Danielewicza, którego Krasiński w swym „Niedokończonym poemacie“ jako Aligiera przedstawił.

9) Wiersz p. t. „Do moskali“ zaczynający się od słów:

„Wiem, dla mnie Sybir — powróz zgotowany,“

drukowany był po raz pierwszy w Dzienniku literackim z r. 1867, w numerze 6, a powtórnie w pośmiertnych poezjach Krasińskiego, wydanie Dzikowskiego. Wiersz ten przysłany był przez Zygmunta Krasińskiego w liście z Karlsbadu hr. Adamowi Sołtanowi. List sam znajduje się zamieszczony w wspomnianem wydaniu Dzikowskiego. (d. n.)

Kronika paryska.

VII.

Paryż d. 1. maja 1875 r.

W przeszłym mym liście zapowiedziałem wam dość dziwne zjawisko: trupy moskiewskiej, która w Paryżu, w stolicy cywilizowanego świata, moskiewskie dawać ma przedstawienia.

Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam „Les temps sont proches!“ Koniec świata musi być bliskim, bo oto dziwne pośród nas dzieją się rzeczy!

Obdarzanie całej ludzkości emanacjami swej inteligencji, dwóch dotychczas narodów było monopo-

lem: Włoch (w zakresie oper) i Francji (w lekkich komedyjek i kawiarnianych śpiewek zakresie). Lecz by północ, ta barbarzyńska północ, która dotychczas tu ogólnie za ojczyznę jednych tylko uchodziła niedźwiedzi, by ta północ, powiadam, kiedyśkolwiek o współudział w wyżej wymienionym kusić się mogła przywileju, o tem zaprawdę żadnemu się nie śniło prorokowi.

Czy widzicie jakie skutki?

Edukacja prawdziwego melomana, i w ogóle światowca, bywalca, jak to powiadają, wymagała dotąd, by potrafił „Casta diva!“ lub „La bella innamorata!“ z jednej, „Voici le sabre, le sabre, le sabre!“ lub „Je suis la femme à barbe!“ z drugiej strony, choćby fałszywym głosem, byleby z prawdziwym florentyjskim a batignoll'skim zanucić akcentem. Tego było dosyć i jak dla pewnych zdolności nie za mało.

Raptem horyzont się rozszerza. Moskwa-Matuszka występuje na scenę i świat elegancki, dziś, od wyżej wymienionego bywalca a melomana, by repertuarz swój „Krasnym sarafanem“ lub „Udałoju trojkoj“ wzbogacił, wymagać jest gotowy i to jeszcze by przycisk kładł na „s“ jak tego poprawna kupiecka w Moskwie żąda wymowa.

Co za rewolucja! I jaką dumą nadymać się muszą serca bojarów, słysząc jak nad-sekwańskie echa te rodzinne ich powtarzają oddźwięki.

„C'est du Nord, que nous vient la lumiére!“ powiedział kiedyś Voltaire w swym dobrze zapłaconym do carycy Katarzyny zapale. „C'est du Nord, que nous arrive l'harmonie!“ wołać dziś będą Paryżanie w swych anti-bismarkowskich do kolosu podbiegunowego umizgach. Rządy Aleksandra II. pomściły mikołajowskich rządów wspomnienie. Rossja nie zdobyła wprawdzie Konstantynopola, ale zdobyła salę „Ventadour“ w Paryżu, nie annektowała dwóch prowincyj, jak bardzo ze sukcesów swych hardzi sąsiedzi, lecz annektowała muzykę! Jest kompensacja i tak jak dziś mówi się: Paszkiewicz-Erywański, Kutuzow-Smoleński, lub Dybicz-Zabałkański, tak Miłosławski (nazwisko dyrektora trupy) lub Dutsch (nazwisko autora muzyki) Wantadurski, przyszłe mówić będą pokolenia.

Ale żarty na bok, i na fakt ten „serjo“ z poważnej popatrzmy się strony.

Że się muzyka nam Sławianom, hojnym dała udziałem, temu zaprzeczyć trudno, nie sposób. Naddnieprzańskie zwłaszcza po prawej i po lewej stronie ługi, hodują lud śpiewny jak mało, jak żaden bodaj inny na świecie. Melodje, które lud ten bezwiednie w zawody z słowikiem, przy pracy, w tańcu, za karczemnym stołem, z swej szerokiej snuje piersi, wielkiem do natury tameczniej uderzają podobieństwem. Bogactwo wegetacji (motywów) niesłychane, kultura żadna, lub jej mało. Lecz niechże zechce zdolny jakiś agronom (artysta) bezbrzeżne a tłuste łany te, umiejętnej a postępowej poddać uprawie, żniwo najśmielsze jego przewyższy oczekiwania.

Uczynił to (siak tak, jak mógł, jak umiał) p. Dutsch. Okrzesał, zorkiestrował kilka ogólnie znanych ludowych motywów i postawił na nogi, nie arcydzieło zapewne (nie siły też po temu) ale rzecz bardzo ładną i bardzo przyjemne wywierającą wrażenie.

Jest tam, w dość skąpo odmierzonej zresztą muzykalnej części utworu, Arja drużki weselnej w 2im i chór cyganek w przedostatnim zda się akcie, na pochlebne ze wszech względów zasługujące wspomnienie.

Drży w nich głębokie uczucie, jakaś niewysłowiona tęsknota, jakaś namiętność, dzika zgoda, lecz i wysoce oryginalna i wysoce ponętna zarazem.

Kiedy się po tym żywym, rozgłośnym krzyku bolu, żądzy, rozpaczy, skocznych francuskich flonflonów, lub nawet miękkich włoskich słucha lamentów, doznaje się tego samego wrażenia, jakieby oku, przywykłemu do dziewiczych puszcz Ameryki południowej, malutki, wyczesany, wymieciony, mieszczański nad Sekwaną sprawił ogródek. Z jednej strony, natura taka, jaką jest, nieokiełznana, potężna, straszna i czarująca zarazem, z drugiej postrzyżone szpalery, żwir miast ziemi pod stopami, blade, bez woni, rzekłbyś z papieru wycięte, na drzewach liście i kwiaty. Co kto lubi, zapewne, i „episjer“ z ulicy „Montorgueil“ na przykład, wygodne i pantofłów nie zdzierające chodniki ostatniego, nad pierwszych przeniesie zarośla. Ja nie. A ty czytelniku?

Skąpo odmierzona, jakem rzekł wyżej, muzykalna część utworu, na nader ubożuchnem i patrjarchalną prostotą uderzającem opiera się „libreto.“

Rzecz się dzieje w Moskwie, w XVI. stuleciu. Syn bogatego bojara „Gwozdniew,“ gdzieś tam, z „kibitki“ unoszonej przez rozhukane konie młodą ratuje dziewicę. Od jednego rzutu oka zakochowuje się w niej i od jednego rzutu oka przez nią jest umiłowanym. Lecz coś tam, nie pomnę już co, dalszej znajomości kochanków staje na przeszkodzie. Rozchodzą się, nie pomieniawszy się na nazwiska i nic zgoła nie wiedząc o sobie.

Naprożno odtąd „Włodzimierz“ (miano bohatera) pięknej swej nieznajomej po wszystkich Moskwy szuka zaułkach. Młoda dziewica w niedostępnym zamknięta „teremie,“ po raz drugi zakochanym oczom jego zjawić się nie chce, czy nie może.

Bojar „Gwozdniew“ tymczasem syna żenić zamyśla.

Własnych się tylko (jak za owych czasów bywało) chęci radząc a widoków, wysyła swatów do potężnego kniazia „Sońcew,“ z którym za młodu w zażyłych był stosunkach i w którego córce „Mąszy“ bogatej dziedziczce, dobrą dla syna partję upatrzył sobie zawczasu.

Swaty przyjęte. Małżeństwo ułożone i „Włodzimierz“ z jednej a „Masza“ z drugiej strony, w wilję ślubu dopiero o rodzicielskich dowiadują się zamiarach.

Opór młodych, z których każde gdzieindziej uwięzło sercem, despotycznym rodziców złamany rozkazem, w bierne woli Bożej i woli ojcowskiej zmienia się posłuszeństwo.

Ślubne następują ceremonje.

Długim, ciężkim woalem zakrytą i oślepioną oblubienicę, z dworca do cerkwi, z cerkwi za stół biesiadny, z za stołu wreszcie do ślubnej łożnicy, obok smętnie zadumanego wiodą oblubieńca. Tam dopiero spadają zasłony i „Włodzimierz“ w „Maszy“ a „Masza“ w „Włodzimierzu“ raz tylko widzianą, ale rzewnie ukochaną poznaje istotę.

Uścisk ich niewymuszony, nie ceremonjalny tym razem, niezawisłej jak widzicie intrydze sztuki, dość malowniczym służy finałem i widz licznym a długim przypatrzywszy się pochodom, pokłonom, mienianiom się na całusy i na czarki (couleur locale) i słuchacz kilka ładnych (w rzędzie których wspomniane wyżej) arji wysłuchawszy i chórów, idą do domu bez zbytniego entuzjazmu zapewne (o taki dość trudno) ale nie żałując wieczoru, którego bądź co bądź za stracony uważać nie sposób. Wykonanie staranne. Bogactwo kostjumów i dekoracji, przywykłym nawet do zbytków pod tym względem Paryżanom, przyjemnie pogłaskało oczy. Azjatycki przepych owoczesnych strojów w przekonaniach tłumu tutejszego, iż tam na północy wszystko dziegciem pomazane i w barani tułub zaszyte, zupełną zrobił rewolucję. Gra aktorów mierna lecz znośna. Jako śpiewaczka pani Puskowa na specjalne zasługuje wspomnienie. Głos jej potężne „contrasto“ gdyby był więcej wyrobionym, do świetnych mógłby ją upoważnić pretensyj.

Powodzenie? Ktoś, coby takowe zwykłą skalą paryskich powodzeń mierzyć zapragnął, wielką by się zmazał niesłusznością. Niezrozumiały język szkodził mu zanadto, za wiele. Piętnaście w każdym razie przedstawień, przy dość pełnej sali, jeśli wszystkie uwzględnimy trudności, dość ładnym nazwać się może rezultatem. Wątpimy by pan Miłosławski (dyrektor trupy) wyłożone na daleką podróż odzyskał koszta, utrzymał się jednak dłużej niż przed kilką laty, w tymże samym teatrze, znakomity angielski aktor „Sothern“ niż niedawno temu w teatrze „Athénée“ wędrująca niemiecka trupa, i tem jak na pierwszą próbę zadowolić się jest w prawie.

Francja szybkim, za szybkim krokiem na regeneracji postępuje drodze.

Rozpasanej za czasów cesarstwa nierządnicy, raptem w wielkie zebrało się wstydliwości. Tej, która wygorsowana nieledwie do pasa, w krótkiej po kolana sukni, nie dalej jak sześć, siedem lat temu, w obliczu całej Europy, do bułaszczego stawała kankana, raptem w niewinnej „Agnès“ przyśniło się wystąpić roli.

Znacie bez wątpienia, wydanie „powieści“ (Contes) La Fontaine'a w handlu księgarskim, od innych edycyj „Édition des fermiers généraux“ odróżniane nazwiskiem? Wydanie to, nader luksowne za Ludwika XV. bo w 1762 roku kilku bogatych finansistów, wielbicieli autora dokonane nakładem, a nieśmiertelnego artysty „Eisen“ ozdobione ilustracjami, wydanie to, powiadam, w skutek szczupłej cyfry egzemplarzy, a zwiększającej się co dzień liczby bibljomanów, zupełną, szalenie przepłacaną stało się rzadkością. Jednemu z księgarzy wydawców paryskich panu Barraud, przyszło na myśl z nowym, dostępniejszym pod względem ceny, tegoż samego wydania wystąpić przedrukiem. Z silną energją wziąwszy się do dzieła, nie szczędząc ni kosztów ni starań, znalazł zdolnego artystę, który starte dłonią czasu „clichés“ rysunków „Eisen'a“ z wielkiem odświeżył powodzeniem, na korzyść przedsiębiorstwa swego wszystkie nowsze drukarskiej sztuki wyzyskał ulepszenia i już do gromadzenia obfitych zabierał się plonów, gdy wtem cenzura tem mniej wyrozumiałą, im świeżej przybraną powodowana wstydliwością, z absolutnem wystąpiła „veto“—rozpoczęte skonfiskowała wydawnictwo i odnowione „clichés“ rysunków „Eisena“ na drobne kawałki wandalskim oprawców potłukła młotem.

O źle zrozumiana, źle zastosowana cnoto, do jakich ty doprowadzić możesz absurdów!

„Powieści“ (Contes) La Fontainea z „Dekameronu“ (Decameron) „Bokacjuszowskiego“ (Bocacce) naśladowane prawie ryczałtem, nie wielką zapewne odznaczają się moralnością. Rysunki „Eisena“ główne powieści onych ilustrujące sceny, nie są zapewne stosownym widokiem dla ócz pensjonarek sposobiących się do pierwszej komunji. I gdybym miał szesnastoletnią córeczkę w domu, a egzemplarz „des fermiers generaux“ w szafie, na dwa spusty przed ciekawem dziecka zamknąłbym szperaniem. Lecz czegoż to dowodzi?

Bardzo dużo arcydzieł największych mistrzów, w tym samym absolutnie do niewinności dziewczęcej zostaje stosunku. Nie chciałbym, rzecz prosta, by moja córka, siostra, żona, do pewnego wieku przynajmniej nadto się w niektóre Rubensa, Corregia itd. wpatrywała obrazy, nadto się przed niektóremi w Luwrze i gdzieindziej zadumywała posągami, lecz ani mi w głowie żądać, wymagać, by te cudotwory sztuki, na mej małżeńskiej czy ojcowskiej spokojności poświęcono ołtarzu.

Zmniejszając o wiele cenę dzieła, którego oryginalne wydanie dla nadzwyczajnej rzadkości, tysiąc z górą czasem płaci się franków, pan Banaud wcale jeszcze popularnej jego nie myślał robić edycji. Kosztując drogo, dzieło to pozostałoby zawsze dla bogatych tylko amatorów dostępnym nabytkiem, a wątpimy, by widok kilku czy kilkunastu erotycznych obrazków tak bardzo na szwank tych ostatnich narażał cnotę. Arcydzieło przytem jest arcydziełem, i dla tego samego już zwykłym łokciem mieszczańskiej pruderji mierzonem być nie może. Mierność lub lichota tylko wykonania na złe naprowadza myśli, prawdziwe piękno wszelką nagość swym magicznym zasłania woalem. A dla czegoż znowu tak różne, tak przeciwne sobie w jednej i tej samej kwestji wydawać sądy? Dla czego pani Cenzura tak cnotliwa, gdy rzecz idzie o lekkie (ani słowa) lecz śliczne rysunki „Eisena,“ dla czego pytamy, ta sama pani Cenzura przez palce na prawdziwie sprośne wpółnagich kobiet, po teatrach patrzy wystawy? Dla czego „Piękną Helenę“ i „Orfeusza“ z tak stronnem traktuje pobłażaniem?

Dalipu iż wyżej wymienione, głupie a wyuzdane sztuki, które lada piętnastoletni studencina za dwa lub trzy (wstęp do teatru) oglądać może franki, stokroć bardziej publicznej zagrażają moralności, niżeli artystycznie wykonana książka, która kosztując drogo, przypadkiem chyba kilku, czy kilkunastu bogatszych paniczów podrażni spojrzenia.

Jak wam się zdaje. Czy można bardzo na tak surowym wyrokiem zamanifestowanej, panów Cenzorów polegać cnocie? Bajbardzo! Zgoła! Starego wytartego nie dałbym za nią tynfa.

Grono to starców łysych, bezzębnych, zreumatyzmowanych, spodagrzonych, którym do głowy raptem, popisać się katonowstwem, przyszła fanaberja. To tak wygodnie przytem, kosztem biednego, zrujnowanego wydawcy, ciężące na sumieniu młodości okupić grzeszki. O rodzino „Tartuffów“ jakżeś ty

iczną! O nieśmiertelny Molierze! Jakiem ty wieszczem odgadłeś ją spojrzeniem!

Instygatorem tej moralno-wandalskiej manifestacji był jak mówią p. Ludwik Veuillot, nabożny redaktor dziennika klerykalnego „Univers,“ ten sam, który przed parą laty żądał, by ładna grupa p. Carmaux „taniec“ wyobrażająca, a fronton nowej zdobiąca Opery, także pod niszczącym cenzury zniknęła pełotem.

Nienawiść p. Veuillot do La Fontaine'a zrozumieć i wytłumaczyć łatwo. W „Powieściach“ swych naśladując w tem Bokacjusza, jowialny gawędziarz mnichów i mniszki z nienazbyt wielkim traktuje respektem. Tego wystarcza.

Biedna Francja! Z jednej strony komuna, z drugiej klerykalizm! Pierwsza, gdyby tylko moc po temu Bossuet'a, Bourdalone, Lesueur'a w nihilizmu cisnęłaby płomienie. Drugi, gdyby li stało potęgi Pascal'a, Rousseau, Voltaire'a, La Fontaine'a wreszcie, na Inkwizycji spaliłby stosie.

Biedna Francja! We dwa tak wzięta ognie, nie wiele pamiątek sławy z ubiegłej przechowałaby przeszłości.

Ufajmy, iż tak źle nie będzie i że zdrowy sens narodu, ciągle w rozsądnej utrzymując go równowadze, jak od jednej, tak od drugiej uchroni go ostateczności.

Dziś pierwszego maja w tak zwanym Pałacu Industrji na polach Elizejskich, doroczna Sztuk Pięknych otwiera się wystawa. Jeśli „Tydzień“ specjalnego pod tym względem w Paryżu nie znalazł sobie korespondenta, w przyszłym mym liście pobieżne mu z niej poszlę sprawozdanie.

Ni głęboki znawca, ni siaki taki dyletant nawet, będę mówić o niej to, co mi podyktują oczy a sumienie.

Posługując się zdaniem innych kompetentniejszych sędziów, a wyrazem ogólnej tu opinji, postaram się by wielkich przynajmniej nie wypowiadać absurdów.

Za małe zaś usterki a zboczenia z drogi — przeprosiny zawczasu.

I do przyszłego listu. *J. S. Chamiec.*

Z ŻYCIA ZWIERZĄT

z notatek

Dr. E. Janoty.

SZYMPANS MARGOSIA.

W ogrodzie zoologicznym w Hamburgu znajdowała się przez trzy lata małpa szympans (samica), zwana Molli. Szympans ten był podarunkiem dwóch kupców hamburskich, Wörmana i Gödelta, posiadających w zachodniej Afryce składy kupieckie. Tam już przebywała Molli dłuższy czas w towarzystwie ludzi; przybywała zatem do Europy do pewnego stopnia wykształcona. Do Hamburga przyjechała bardzo cierpiąca, jak się zdaje, skutkiem podróży morskiej.

Znany przyrodnik niemiecki A. E. Brehm, przez czas jakiś dyrektor ogrodu zoologicznego w Hamburgu, podał w piśmie niemieckiem *„Die Gartenlaube“* (1866, 230) kilka nader zajmujących szczegółów z życia tej małpy.

Niedorzecznością byłoby, powiada Brehm, gdyby uczynki i figle tak wysoko stojącego zwierzęcia, chciano przypisać jedynie darowi naśladowania, pozbawionego wszelkiego sądu, jak to tu i owdzie uczyniono. Prawda, że Margosia naśladowała, lecz działo się to zupełnie tym samym sposobem, jakim dziecko naśladuje dorosłych, to jest ze zrozumieniem rzeczy i z rozsądkiem. Dała się pouczyć i uczyła się. Gdyby ręka jej była się dała tak użyć jak ręka człowieka, byłaby naśladowała jeszcze całkiem coś innego, byłaby się całkiem czego innego uczyła. Robiła tyle, ile właśnie zdołała robić; wykonywała to, co wykonać mogła; ale cokolwiek czyniła, czyniła z świadomością, z niezaprzeczonem zastanowieniem się. Rozumiała, co do niej mówiono — i ją rozumiano, umiała bowiem mówić, wprawdzie nie słowy, lecz głosami i zgłoskami tak dobitnie wygłaszanemi, że nie można było nie zrozumieć, czego chciała. Znała siebie i otoczenie swoje, była świadomą swego położenia. W obcowaniu z ludźmi poddawała się wyższemu uzdolnieniu; w obcowaniu ze zwierzętami okazywała podobne przeświadczenie o sobie jak człowiek i uważała siebie za coś lepszego i wyższego od innych zwierząt, zwłaszcza od innych małp. Rozróżniała osoby dorosłe od dzieci; pierwsze poważała, na drugie mało zważała. Miała pomysły dowcipne i pozwalała sobie żartów a to nietylko ze zwierzętami, ale i z ludźmi. Obchodziły ją rzeczy nie mające żadnego związku z jej przyrodzonemi potrzebami, zajmowały ją zwierzęta, które jej właściwie nic nie obchodziły i z któremi nie mogła ani przyjaźni zawrzeć, ani w inny wejść stosunek. Była nietylko ciekawą, lecz chciwą wiedzy; przedmiot, który ją zaciekawił, większą miał u niej wartość, skoro się nauczyła używać go. Umiała wnioskować, z jednej rzeczy sądzić o drugiej i pewne doświadczenia trafnie zastosować do nowego położenia. Była podstępną, nawet przebiegłą, miała własną wolę, ale nie była upartą, żądała, co się jej należało, bez napierania się. Co do usposobienia, miała swoje humory i muchy; jednego dnia była wesołą i ochoczą, drugiego smutną i zrzędną. Bawiła się w tem, nudziła w owem towarzystwie, znosiła i rozumiała żarty przyzwoite, nie znosiła żartów niestosownych. Uczucia swoje wyrażała jak człowiek. Będąc wesołą, nie śmiała się wprawdzie, ale przynajmniej się uśmiechała; smutek okazywała zupełnie jak człowiek; można było czytać w jej twarzy. Gdy jej Brehm raz musiał odmówić przechadzki po ogrodzie, popadła w rozpacz, rzuciła się na ziemię, położyła na wznak, wrzeszczała przeraźliwie, wykrzywiała twarz i włosy sobie targała.

Inne małpy i psy objawiają podobne uzdolnienie umysłowe, u szympansa każdy objaw jest wybitniejszy, zrozumialszy i więcej zbliżony do tego, co widzimy u ludzi.

Po tych ogólnych uwagach opisał Brehm jedną z przechadzek Margosi po zwierzyńcu.

Margosia siedzi spokojnie w klatce, przypatruje się ciekawie stojącej przed klatką publiczności, lub też zabawia się ze znajomemi, gdy do niej wstępuje Brehm, aby ją wziąć na przechadzkę.

— Margosiu, pójdziemy na przechadzkę?

— O! odpowiada Margosia z radością.

— Rzuć precz portmonetkę!

Rzuca ją, włożywszy jednak poprzednio do niej szeląg*), który trzymała między wargami dla dozorcy.

— Gdzie masz rękawiczki, Margosiu?

Ogląda się i spostrzega, że rękawiczki, które jej darowała pani N., wielka jej przyjaciółka, są już potargane, że ich zatem nie można wdziać. Margosia miała bowiem niepiękny zwyczaj ogryzania palców u rękawiczek, jak to czynią czasem niektóre małpeczki dwunożne.

— Otwórz drzwi!

To nie łatwa robota, gdyż drzwi zabezpieczone są od wszelkich usiłowań domyślnego mózgu małpiego w dosyć sztuczny zamek. Margosia atoli umie sobie poradzić i dopóty w sposób właściwy obraca kluczem, aż drzwi otworzyła.

— Podaj mi rękę, Margosiu! — Podaje.

— Nie tę, podaj mi drugą! — Margosia podaje drugą.

— Chcesz biczyk?

— O, o, o! — co znaczyło: Tak jest.

— Czy cię mierżą pawiany?

— O, o!

— Wybij je!

Margosia wchodzi na balaski umieszczane przed klatką pawianów i smaga z jawnem zadowoleniem kuzynów swoich. Pawiany szaleją ze złości, kłapią zębami, zacisnąwszy wargi, podskakują do góry, chwytają za biczyk, strzegą się atoli przed razami, Margosia bowiem nie żartuje ii dobrze daje poznać swoje półczłowieczeństwo. Gdy się Margosia już dosyć nabiła krewniaków, idzie dalej.

Źle chodzić szympansowi ręka w rękę z człowiekiem. Dlatego też zaprasza Margosia pierwszego przechodnia podaniem mu ręki, aby pomógł ją prowadzić. Tak z dwóch stron trzymana kroczy dosyć szybko na tylnych nogach.

Gromadka chłopców staje w drodze, otaczając Margosię.

— Zrób sobie miejsce Margosiu!

*) Srebrniczek wartości 3 6 c. w. a.

Margosia chwyta za biczyk i w okamgnieniu utorowała sobie drogę pomiędzy chłopcami.

Kilka dziewcząt zastępuje jej także drogę; Margosia chce znowu użyć biczyka.

— Fe, Margosiu, to przecież dziewczęta!

Margosia rzuca natychmiast biczyk i podaje najśmielszéj rękę na dowód przyjaźni. Przychodzimy nad staw.

— Przypatrz się kaczkom.

Margosia przypatruje się kaczkom z miną przyrodnika. „Gęsiom także!“ Przypatruje się i gęsiom z rozwagą. „I czarnemu łabędziowi!“ I temu się przypatruje uważnie.

W pobliżu klatek z drapieżnemi zwierzętami okazywała niewymowną bojaźń i żadną namową nie dała się skłonić, aby się do nich przybliżyć więcej, aniżeli uważała za stosowne; przybywszy atoli do zagrody, w której znajdowały się Lamy guanako, usiłowała wszelkiemi sposoby rozgniewać te lękliwe i drażliwe zwierzęta, co się jej zawsze udawało; drażniła także psa, który zajadle ku niej się rzucał, ale dla łańcucha nie mógł jej dosięgnąć; słabsze zwierzęta płoszyła. Jeżatek czubatych bała się, przekonawszy się raz, co to znaczą ich kolce.

— Mam przynieść kolec? — Margosia garbi się, jak chłopiec, któremu grozi batog.

— Czyś zasłużyła sobie na wodę z cukrem?

— O, o, o!

Idziemy do kawiarni. Margosia siada na stołku i pięścią uderza w stół; podaną sobie szklankę wody z cukrem bierze w rękę, i łyżeczką wygodnie pije. W końcu dodać należy, że Margosia nie wyszła nigdy z kawiarni, nie dostawszy swojej szklanki wody z cukrem.

Margosia zginęła na suchoty w r. 1866. Zarodu tej słabości nabyła, jak się zdaje, w czasie podróży morskiej do Europy. Jak w zdrowszym stanie, tak w słabowniku podczas choroby wielkie okazywała podbobieństwo do człowieka, większe nawet, aniżeli kiedykolwiek. Kto ją wtedy widział, czuł prawie to samo, co się czuje na widok człowieka w podobnym znajdującego się stanie.

Szkoda, że Brehm mimo oświadczenia, że o Margosi mógłby całą książkę napisać, nic więcej o niej nie napisał, będąc naocznym świadkiem jej życia w Hamburgu.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Dzieła Wincentego Pola. Pierwsze wydanie zupełne. Tom drugi. Dzieła prozą. Tom I. Lwów — 1875.

Stanowisko Pola jako geografa dotąd w literaturze naszej nie zostało dostatecznie ocenione. Niezwykłe to zjawisko. pierwszorzędny poeta zajmujący się naukami przyrodniczemi a w szczególności geografją. Ta miłość ojczystej ziemi, która natchnęła Pola do napisania: „Pieśni o ziemi naszej“, stała się zarazem pobudką do badań geograficznych. Przyswoiwszy sobie w zupełności najnowsze poglądy geograficzne Rittera i Humbolta, umiał takowe zastosować do własnych spostrzeżeń i zlać w jedną naukową całość. W towarzystwie uczonych, a wspomniemy tu tylko o Łobarzewskim, zwidził Pol całą Polskę, obserwując ją okiem poety i geografa. To też liczne prace geograficzne zaprowadziły Pola aż na katedrę tego przedmiotu. Owocem działalności naukowej Pola na uniwersytecie są własne prace, zawarte w tym tomie. Część Isza traktująca o północnym wschodzie Europy, była już drukowaną jako prolekcje wstępne do wykładów i zawiera pogląd na powierzchnię europejskiego lądu. Część druga mieści w sobie hydrografię Polski. Przed opisem każdej rzeki mieści się wiersz stosowny, w którym znajduje się pełno myśli i siły. Czem jednak najbardziej Pol jako geograf się odznacza, to terminologją. Znając bowiem jak mało kto język dawny, w licznych swych podróżach podsłuchiwał lud, i na podstawie tych badań tworzył wyrazy. W teraźniejszej mianowicie chwili, gdy i u nas zajmują się już więcej geografją, a obsadzenie katedry geografji na uniwersytecie lwowskim jest w toku, prace geograficzne Pola szczególnie pod względem słownictwa znakomite oddadzą usługi. Hydrografja Polski nie była dotąd drukowaną. Wydawnictwo dzieł Pola co do formy zewnętrznej wyróżnia się bardzo korzystnie od wielu innych wydawnictw zbiorowych. W tomie trzecim zostaną umieszczone: Pamiętniki Winnickiego i Mohort.

— Sprawozdanie Dr. Edwarda Sawickiego, z podróży naukowej w r. 1875 odbytej. Lwów — 1875.

Dr. E. Sawicki, prymarjusz w szpitalu lwowskim, złożył na posiedzeniu naukowem Tow. lekarskiego, dnia 1go maja rb. sprawozdanie ze swej podróży naukowej, odbytej po Zachodzie w ciągu rb. Książeczka niniejsza jest dopiero wstępem, a chociaż autor zajmuje się głównie chorobami nerwowemi i umysłowemi, mimo to umiał przedmiot zrobić zajmującym, tak kreśli wszystko jasno i dobitnie. Gdy całe dzieło wyjdzie, będzie cennym nabytkiem nietylko dla lekarzy ale i szerszej publiczności, nie wątpimy bowiem, że całość, o ile to zresztą będzie możliwe, wypadnie równie popularnie, jak ta część ogólna.

— Książeczka do nabożeństwa, Jadwigi, księżniczki polskiej, według pierwotnego wydania z r. 1825, powtórnie wydał Stanisław Motty. W Poznaniu — 1875.

Książeczka do nabożeństwa, na której się modliła św. Jadwiga z rodu królów polskich, wydana pierwotnie przez ojca obecnego wydawcy w r. 1825, wywołała gorący spór między uczonymi. Gdy jedni utrzymywali, za ówczesnym wydawcą, że należała do św. Jadwigi księżniczki szląskiej, przełożonej klasztoru w Trzebnicy, która umarła 1243 r. drudzy dowodzili, iż pochodzi z drugiej połowy XV. wieku, nie mogła zatem należeć do żadnej Jadwigi, z księżniczek polskich tego imienia. Między wszystkimi znawcami starożytnego języka polskiego, dotąd jeszcze pod tym względem nie ma zgody. Nasz uczony profesor Dr. Małecki, stawia tę książeczkę między starożytnemi pomnikami średniowiecznej polszczyzny, dopiero na szóstem miejscu. Według niego, powyższa książeczka pochodzi z drugiej połowy XV. wieku.

— Żniwiarka, jej historja, budowa i użycie. Podręcznik dla techników i rolników opracował Jan Pietraszek, B. Marczewski i A. Strzelecki. Warszawa — 1875.

— O hodowli inwentarza. Konferencja Adolfa Biesiekierskiego. Warszawa — 1875.

— „Ultimo“. Nowella Fryderyka Spielhagena przekład Aleksandry Callier. Warszawa — 1875.

— Jozyasz P. Cooke Prof. chemji i mineralogji w uniwersytecie Harvandskim. „Odczyty popularne o chemji nowoczesnej“. Przekład Dra K. Jurkiewicza. Warszawa — 1875.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Sztuka, literatura i nauka.

— W sali Domu Narodnego we Lwowie mamy nareszcie wystawę sztuk pięknych. W stosownem miejscu rozpoczęliśmy szereg sprawozdań, zaczynając od Matejki. Tu tylko nadmienimy, że dzieł sztuki nie ma jeszcze wiele, ale za to są prace pierwszorzędnej wartości. Po nad wszystkiem, z wyjątkiem „Iwana Groźnego“ króluje pejżaz. Uczniowie szkoły monachijskiej przysłali kilka płócien; między niemi stoją najwyżej Kowalskiego: „Pochód rannych“ i Brochockiego „Widok leśny.“ Rzeźb jeszcze bardzo mało.

— W ubiegłym tygodniu widzieliśmy dwie nowości na naszej scenie. Pięcioaktową tragedję Juljusza Słowackiego „Lilla Weneda“ i operetkę W. Czerwińskiego „Słowiczek.“ Są udramatyzowane poezje, pełne wielkich myśli i scen potężnych, które czytelnika porywają, gdyż wyszły z pod pióra genjalnego pisarza. Widz atoli pozostanie dość zimnym, jeśli poematowi brak warunków scenicznych, jeżeli pojedyncze ustępy nie wiążą się ściśle z całością, jeśli w reszcie co krok napotyka jakąś alegorję, nad którą tylko czytelnik może się dłużej zastanawiać. Podobną sztukę może ocalić tylko znakomita gra artystów. Taką jest „Lilla Weneda“ Z obawą szliśmy na przedstawienie, a rezultat okazał, że obawa nie była płonną. Panna Deryng, w roli proroczej Rozy, była bardzo dobrą, tyle w jej grze widzieliśmy ognia i siły, p. Ładnowski utrzymał się także na wysokości artysty w majestatycznej roli nieszczęśliwego króla Wenedów, p. Fischer był wybornym jako Ślaz, ale za to pani Aszperger była więcej tyranką nowoczesną, aniżeli przedstawicielką nieubłaganej zasady *raison d'état*, p. Zamojski w roli Lecha był fatalnym, a pani Ładnowska jako Lilla przyczyniła się najwięcej do popsucia całości. Krzywdę wyrządza ten pani Ł. kto ją zmusza do grania ról pierwszorzędnych. Młoda ta artystka nie ma jeszcze żadnej rutyny, jej deklamacja jest monotonna a ruchy zbyt wymuszone. Zamiast mówić z uczuciem — płacze, zamiast zachwycać i porywać, niecierpliwi i zniechęca. Pani Ładnowska musi długo jeszcze wyrabiać się w rolach drobniejszych, zanim będzie mogła pokusić się o palmę artystki pierwszorzędnej. — Pan Wilhelm Czerwiński zgotował nam prawdziwą niespodziankę. Jego „Słowiczek,“ mimo ze libretto jest nadzwyczaj słabe, zrobił na nas silne wrażenie, tak piękną jest cała muzyka. Uwertura, sola, duety i kwartet, słowem wszystko świadczy o niepospolitym talencie kompozytorskim p. Czerwińskiego, a chociaż miejscami muzyka jego przypomina zanadto duch szkoły włoskiej, mimo to nie poczytujemy mu tego za winę, raczej za zasługę, melodyjna bowiem muzyka włoska stokroć lepiej godzi się z naszem usposobieniem, aniżeli łamane sztuki muzyki niemieckiej. Uwertura jest potężna, za obszerna nawet, jak do operetki, i mogąca być wyśmienicie zastosowaną do wielkiej opery — a polonez należy do tak pięknych kreacji, jakich od czasów Moniuszki nie zdarzyło nam się słyszeć na scenie. Jeżeli libretto zostanie poprawione, i więcej zastosowane do charakteru muzyki, „Słowiczek“ bardzo często będzie się pojawiał na polskich scenach. Tymczasem nowemu kompozytorowi zasyłamy serdeczne: Szczęść Boże!

— Dzieł Szekspira, w pierwszem zbiorowem wydaniu polskiem, opuścił prasę tom V. i zawiera dokończenie dramatu „Henryk IV“ i początek „Henryka V.“

— Siedmdziesiąta rocznica urodzin duńskiego poety, H. E. Andersena, była nadzwyczaj świetnie obchodzoną. Już dzień przedtem król posłał po niego dworską karetę, w której poeta przyjechał do stolicy, aby z rąk monarchy otrzymać krzyż komandorski pierwszej klasy, orderu Dannebrog, a z rąk królowej i księżniczki Tyry wspaniałe bukiety. W dniu uroczystości, deputacja komitetu, zajmującego się postawieniem pomnika Andersenowi, wręczyła mu adres z krociami podpisów, a rada gminna z Odense, na domku, w którym urodził się poeta, przybiła płytę, z następującym napisem: „Z tym domem łączą się najdroższe wspomnienia Jana Christjana Andersena z jego lat dziecięcych.“ W wieczór było uroczyste przedstawienie w teatrze. Tego samego dnia poeta otrzymał liczne adresy z całego kraju i od wielu literackich towarzystw zagranicznych. Na pamiątkę jubileuszu, zostanie także wydane jedno z dzieł Andersena w piętnastu językach. — Tak obce narody cenią swoich wieszczów! U nas tymczasem, gdy sędziwy autor „Sobótki“ obchodził pięćdziesiąty jubileusz swojej działalności literackiej, pewne warstwy namyślały się długo, czy wziąć udział w tej uroczystości — i końcu całkiem się usunęły zapewne z obawy, by im to nie ubliżyło! O sancta simplicitas!

— 3 Maja miało miejsce w Wiedniu uroczyste otwarcie Muzeum orjentalnego w pałacu Windschgrätz przy Renngasse. Bogate zbiory, które były ozdobą pałacu przemysłowego na wystawie powszechnej z r. 1873, mieszczą się obecnie na pierwszem piętrze muzeum. Muzeum to wzięło sobie za cel popieranie handlowych stosunków monarchji austryjacko-węgierskiej z krajami Wschodu i Azji wschodniej.

— Sejm krajowy w Gocie na ostatniem posiedzeniu swojem z 5 maja uchwalił sumę 120.000 marek na budowę Muzeum w tem mieście. Książe gotajski ze swojej strony podjął się dostarczyć dalszych funduszów w kwocie 282.000 marek z pożyczki w kasie kredytowej krajowej. Piękny plan budowy już istnieje. Wkrótce więc Gotha poszczyci się nową, okazałą budowlą i piękną instytucją.

— Piękne dzieło Rubensa, pyłem i pajęczyną do niepoznania okryte, odnalezionem zostało w kościele Notre Dame w Cassel (dep. du Nord we Francji) przy odświeżaniu starych malowideł. Przedstawia ono S. Franciszka z Assyżu, któremu objawia się Najświętsza Panna — i po odczyszczeniu — doskonale zachowanem się okazało.

— Ze stolic europejskich oprócz Rzymu jeden tylko Paryż posiadał obelisk egipski. Obecnie Londyn pozazdrościł mu tej kosztownej ozdoby. Rozpoczęto jsż przygotowania do sprowadzenia olbrzymiego obelisku zwanego „Igłą Kleopatry“. Budują w tym celu wielki drewiany futerał, który ma zabezpieczyć obelisk od uszkodzeń, gdy siłą pary zostanie poruszony z miejsca i zawleczony na morze. Futerał ten drewiany będzie tak zbudowany, że na morzu służyć będzie za okręt do dalszego przewozu. Obelisk „Igła“ ma stanąć nad Tamizą na nowym *quai*.

Gospodarstwo.

— Ostatnie ogłoszenia komisji wystawy w Filadelfji zajmują się kwestją premjowania i sądzenia. Członkowie sądu będą mieli natężającą pracę, muszą bowiem przydzielone sobie działy doskonale znać i umieć dobrze po angielsku. Każdy wystawca ma prawo ogłosić sąd komisji. Komisja ta będzie się składać z 200 członków, a każdy otrzyma 1000 dolarów wynagrodzenia: do komisji będzie wybranych 100 Amerykanów, a 100 obcych. Biuro komisji w Wiedniu już się ukonstytuowało; znajduje się od 10. maja przy Stubenbastei N. 14. na dole.

— Dnia 5. maja otwartą została w Wiedniu wystawa kwiatów, owoców i jarzyn. Urządziło ją Towarzystwo ogrodnicze tamtejsze.

Wojskowość.

— Nowa broń, modelu Grassa, rozdzieloną już została we Francji pomiędzy wychowańców szkoły wojskowej w St. Cyr. Obecnie zaś każdemu regimentowi piechoty posłane zostaną dwa egzemplarze takiej broni, w której używaniu podoficerowie mają żołnierzy wyćwiczyć.

Podróże i odkrycia.

— Fregata parowa „Valorous,“ przeznaczona wedle nowego rozporządzenia ministerjum marynarki do towarzyszenia angielskiej wyprawie podbiegunowej, aż do wyspy Disco, kędy miała zapasy dla tej wyprawy dostawić, w powrotnej drodze użytą będzie, na żądanie Rady „Royal Society“ w Londynie, do poszukiwań fizycznych i bjologicznych w południowej części zatoki Baffińskiej i w północnej oceanu atlantyckiego, od przylądka Farewell aż do wysp brytańskich — i dopełni tym sposobem dzieła tak pomyślnie rozpoczętego przez fregatę „Challenger“ na innych morzach. Dr. J. Gwyn Jeffreys z „Royal Society“ zaofiarował temu przedsięwzięciu swoje usługi; towarzyszyć mu będzie assystent jego Herbert Carpenter, który obejmie zarazem specjalnie fizyczną część przedsięwzięcia.

— Angielski porucznik Conder, obecnie znajdujący się Palestynie w celu dokładnego oznaczenia miejscowości wspomnianych w Biblji, donosi, że odnalazł miejsce, kędy stało miasto Adullam i jaskinie, w których ukrywał się Dawid z drużyną swoją, popadłszy w niełaskę Saula. Miasto Adullam nazywa się dzisiaj Aydel Mieh. Jest to ruina, w której znajduje się Kubbet, świętość mahometańska. Leży ono na wysokości pięćset stóp nad doliną, nad którą panuje. Wszystkie ślady w tem miejscu każą wnosić, że niegdyś stało tu miasto: grobowce, studnia terasy, szczątki obwarowań. W bliskości tych ruin znajdują się powyżej wspomniane pieczary, dzisiaj jeszcze używane na mieszkania i stajnie.

— W Lille, we Francji, budują teraz balon z blachy żelaznej. Wskutek cierpliwych doświadczeń, powiodło się wynaleźć taką blachę, której grubość nie przechodzi grubości papieru. Balon będzie obejmował 2000 kubicznych metrów, i zostanie opatrzony klapami z blachy mosiężnej. Jeżeli próba powiedzie się, to areostatyka posunie się znacznie naprzód, ponieważ odtąd gaz nie będzie się ulatniał, co dotychczas zawsze się zdarzało.

Szkolnictwo.

— W Krakowie osobne Towarzystwo zajmuje się założeniem Bursy dla synów nauczycieli szkół ludowych. Statut Tow. został już zatwierdzony przez Namiestnictwo. Otwarcie bursy nastąpi prawdopodobnie z początkiem nowego roku szkolnego. Zarząd Towarzystwa bursy w Krakowie przyjmuje datki. Nie wątpimy, że każdy zacny człowiek rzuci grosz na ten cel szlachetny.

ROZMAITOŚCI.

— Ktoby się spodziewał, że czosnek, zwyczajny czosnek, jest najdzielniejszym środkiem zabezpieczającym od ukąszenia wężów i innych jadowitych gadzin! Tak przynajmniej naucza dr. J. Taiber, opierając się na wieloletnich naukowych spostrzeżeniach, dokonywanych na Pampas, na terytorjum należącem do rzeczypospolitej

argentyńskiej. „Kiedy po nużących marszach dziennych — pisze on w miesięcznem czasopiśmie „La Plata," — stawaliśmy gdzie w polu na nocleg, zanim rozwinięto namioty, mianowicie w gorącej porze roku, przeglądano dobrze grunt, — ażali nie nosi śladów gniazd lub nor zamieszkałych przez szkodliwe węże, żmije albo jadowite pająki. W przewidywaniu podobnych niebezpieczeństw po za granicami linji zaludnionej przez osadników, gdyż w miejscach przez ludzi stale zamieszkałych jadowite gady bardzo rzadko się tylko pokazują, oficerowie zaopatrzeni są zwykle w środki mogące zneutralizować albo zgoła zniszczyć skutki jadu; pomiędzy niemi amonjak jako wypróbowany odgrywa najważniejszą rolę. Tylko, że wszystkie te środki, jakkolwiek mniej lub więcej skuteczne gdy natychmiast użyte, nie zabezpieczają przecie od ukąszeń niebezpiecznych płazów. Więc pograniczni mieszkańcy, jako też wojsko tamże konsystujące, czosnkiem jedynie od tego nieszczęścia się ratują. Dosyć jest posiadać przy sobie jedną albo kilka główek tej rośliny, ażeby odstraszyć najgroźniejsze jadowite gady, gdyż zapach czosnku jest im tak wstrętny, że, jak go tylko poczują, zmykają co sił i kryją się głęboko pod ziemię. — Wiadomo, iż węże lubią nadzwyczajnie ciepło, dla tego wciskają się zwykle pod kołdry ludzi śpiących, roskoszując się nie tylko ciepłem okrycia, lecz także ciepłem ludzkiego ciała. Dopóki śpiący leży spokojnie, dopóty zimnokrwiste stworzenie, przycisnąwszy się do jego ciała, nic mu złego nie czyni, lecz gniewa się okrutnie i kąsa, gdy człowiek się rusza albo raptownie zrywa z miejsca, obaczywszy jakiego to niepnoszonego i strasznego ma snu towarzysza. Dowiedzioną jest rzeczą, iż kto na Pampas nosi przy sobie czosnek w główkach czy w kawałkach, ten nigdy jeszcze nie był przez wężów ukąszonym. Powiadają nawet, iż jeżeli zapach czosnku zaleci węża, który wcisnął się pod kołdrę człowieka śpiącego, wtedy zmyka jak najprędzej, nie czyniąc mu żadnej szkody." „Przebywałem długie lata — mówi dalej doktor Taiber — nad granicami Pampas i mogę zaświadczyć, iż nie słyszałem nigdy, aby człowiek, noszący przy sobie czosnek, był kiedykolwiek ukąszonym przez węża. Wielu ludzi zasługujących ze wszech miar na wiarę, u których zasięgałem w tym względzie wiadomości, zapewniało mię o prawdziwości tego faktu, a byli pomiędzy nimi tacy, co całe swe życie jako lekarze przepędzali na pogranicznym pasie osad argentyńskich." Równie skuteczne ma być futro Venady (rodzaj kozła dzikiego, właściwy tamtejszym okolicom) zapach, jaki wydaje, — podobnie jak czosnek wstrętliwym ma być płazom. Człowiek spoczywający na tem futrze może być pewnym, iż go ani wąż ani żadne jadowite stworzenie nie ukąsi. Jedna tylko zachodzi nieprzyjemna okoliczność, oto jeżeli kto zmuszonym jest przez długi czas sypiać na niem, wtedy fatalny odór futra udziela się włosom i ciału, a najdzielniejsze i najtroskliwsze usiłowania podejmowane w celu uwolnienia się od niego, małe tylko osiągają skutki, dopiero po kilku tygodniach zaledwie znika. Nawet dla płci pięknej, w tamtych stronach przywykłej do rozmaitych nie koniecznie miłych woni, a nie mającej zresztą pretensji do wykwintnego obejścia, futro Venady jest tak nieznośne, że w pobliżu jego wytrzymać nie mogą. Tylko Gaucho, co się już wyrzekł wszelkiej myśli starania o względy niewiast, ośmiela się go używać jako środka ochronnego. Tak więc gdzie człowiek narażanym bywa nieustannie na największe niebezpieczeństwa, pochodzące z ukąszeń jadowitych płazów, natura podaje mu skuteczne lekarstwa albo też radydalne środki mogące uchronić go od takiego nieszczęścia. Ażeby być na długi czas najzupełniej zabezpieczonym od kłów wężowych, ażeby nawet stać się postrachem dla wszystkich tego rodzaju stworzeń, dosyć jest—powiada doktor Taiber—zostać oblanym, właściwie skropionym przez zwierzątko Sorino. Lecz niechże kto wytłumaczy krótko-widzącą niewdzięczność ludzką!... Pomimo niezaprzeczonego dobrodziejstwa, jakie natura w postaci tego zwierzęcia człowiekowi zesłała, nie chce on o niem nic wiedzieć, przeklina je i wysyła do wszystkich lichów. Czytelnicy zrozumieją tę pozorną zagadkę, gdy im powiemy, iż Sorino jest najokropniej cuchnącą żyjącą istotą, jaka istnieje na całej kuli ziemskiej! Ażeby mieć zupełne wyobrażenie o fatalnych dla ludzi i zwierząt skutkach płynu, wydawanego w kształcie strzału przez Sorino, potrzeba osobiście doświadczyć tej operacji; odbywa się mniej więcej w sposób następujący: Skoro tylko miłe to na pozór zwierzątko widzi się przez jaką żyjącą istotę zagrożonem, wtedy przysiada na ziemi, zwraca głowę do napastnika i z gruczołu pęcherzowego, jakim jest na brzuchu od natury opatrzone, wypuszcza na nieprzyjaciela, jak z sikawki, promień cuchnącego fluidu, i to z taką siłą i precyzją, że na sążeń odległości nie chybia celu. Płyn ten Soriny stanowi najdzielniejszą jego wobec nieprzyjaciela broń odporną, gdyż ten, co bywa nim rażony, porzuca już wszelką myśl dalszej napaści, a zwierzątko, wypróżniwszy w ten sposób pęcherz, nie okazując bynajmniej obawy, odchodzi spokojnie do swojej kryjówki. Z psów, otaczających zawsze licznie zagrody osadników, młode tylko narażają się na strzykanie Soriny, starsze zaś, które kiedykolwiek doświadczyły już na sobie skutków tej operacji, z daleka trzymają się od tego zwierzątka i od gniazd jego. Skoro pies w powyżej opisany sposób zostanie przez Sorinę skropionym, wpada natychmiast w pewien rodzaj odurzenia, a po przyjściu do przytomności wydaje serce rozdzierające wycie, jak gdyby chciał tym sposobem sprawić ulgę cierpieniom swoim. Następnie, niby szalony, rzuca się na ziemię i z konwulsyjnemi ruchami wyciera na wszystkie strony. Ponieważ to nic nie pomaga i nieznośnego odoru pozbyć się nie może, biegnie więc co sił do pierwszej lepszej kałuży z wodą, zanurza się po sam nos i godzinami całemi wyczekuje skutków kąpieli. Ale ani wycieranie się po ziemi, ani kąpiel nie są w stanie zniszczyć woni Soriny; jeden czas tylko może to uczynić. Teraz dopiero dla nieszczęśliwego psiska następuje pełne męczarni życie. Wracać do domu czyli do zagrody nie może, bo jego pan, poczuwszy straszliwy odór, drażniący w najwyższym stopniu nerwy, kijem, kamieniami, a gdy to nie pomaga, żarzącemi węglami stara się go odpędzić. Wszystkie inne psy, z któremi się wychował, uciekają od niego jak od zapowietrzonego, a przyprowadzone do ostateczności — jakby na komendę rzucają się na ofiarę złości Soriny, gryząc ją niemiłosiernie. Po takiej lekcji, która na długo wystarcza, biednemu psu nie pozostaje już nic innego, jak prowadzić odtąd życie odludne, samotne. Mógłby się polowaniem żywić, ale cóż, kiedy przeklęta woń w wielkiej nawet odległości ostrzega o zbliżaniu się myśliwego i zmusza wszelką zwierzynę do najspieszniejszej ucieczki. Więc musi karmić się istotami z rozmaitych powodów na polach padłemi. Wreszcie w braku takowych pies, doprowadzony do ostateczności, poczyna sobie postępować po rozbójniczemu: jak drapieżne zwierzę napada na stada owiec, porywa drób z przed zagród osadników itp. Ten nowy rodzaj życia atoli trwa zazwyczaj bardzo krótko bo ludzie nie zwykli tolerować podobnych czynów; dobrze wymierzony strzał kładzie mu koniec raz na zawsze. Jeżeli zaś psisko zniesie cierpliwie i przykładnie nieszczęście swoje, a nie czyniąc nikomu szkody, wytrwa w samotności, po tygodniach wielu, gdy woń zniknie zupełnie, wraca do zagrody, w której się urodził i wychował, gdzie go już łaskawie zazwyczaj przyjmują. Za szczęśliwego ze śmiertelników poczytywać się może ten, którego tylko odzienie zostanie skropione pachnidłem Soriny; lecz należy zachować w takim razie wielką przytomność umysłu i natychmiast, w „tej samej sekundzie", zrzucić z siebie takowe. Gdy się tego nie uczyni albo jeżeli płyn pryśnie na odkrytą część ciała, wtedy nie ma już rady i trzeba znieść wszelkie z tego smutne następstwa. Doktor Taiber poznał osobiście nauczyciela, Tyrolczyka rodem, osiadłego na połódniowem pograniczu Pampas, który miał nieszczęście pewnego wieczora wyszedłszy na spacer, zbliżyć się za nadto blisko do Soriny. Zwierzątko to trysnęło całym nabojem na twarz i pyszną brodę jego. Ogolenie brody pomogło tyle co wycieranie twarzy wodą kolońską, mydłem itp. rzeczami to jest, nic zgoła. Biedny ów człowiek skazany został przez rodzinę swoją na mieszkanie w odosobnionym ogrodowym pawilonie, gdzie prawie cały miesiąc samotnie przesiedzieć musiał. Wprawdzie żona i dzieci odwidzały go regularnie, lecz starano się zawsze obracać do niego twarzą z kierunkiem wiejącego wiatru, i w znacznem tylko oddaleniu. Sorino w ogólności, jak wyżej wspomnieliśmy, ładnie z pozoru wygląda i ani futerka, ani mięsa jego nie czuć wcale, z tego nawet powodu przez Indjan i przez część Gauchosów bywa do jedzenia używane. Dodać jeszcze należy, iż zwierzątko to na całem prawie terytorjum rzeczypospolitej argentyńskiej się znajduje, odznaczając się wszędzie temi samemi własnościami, atoli nazwa jego bywa rozmaitą. Kiedy w Buenos Ayres a nawet w Santa Fe nazywają go Sorino, w Mendoziner naprzykład dają mu imię Chinne.

— Znajdujemy w jednym z dzienników angielskich następujący ciekawy wywód, odnoszący się do wspomnianego już kilkakrotnie na tem miejscu projektu nawodnienia Sahary. „Dowiadujemy się — pisze ów dziennik, że pp. Donald Mackenzie. Sir J. Glover i inni żywią zamiar przekopania kanału od zachodniego wybrzeża Afryki do przylądka Bayador, przez który Ocean atlantycki spłynie w Saharę i zamieni ją na morze. Niewątpliwie przyniesie wykonanie tego projektu wielki pożytek północnej Afryce. Ale czy o nią tu tylko chodzi? Czy Europa południowa nie poniesie wskutek tej metamorfozy olbrzymiej szkody? Wiadomo, że granica stałej linji śnieżnej w Europie południowej o wiele jest dzisiaj wyższą, aniżeli była kiedyś. Im dłużej gorący wiatr południowy od Afryki powiewa, tem bardziej topnieją śniegi w dolinach południowej Europy, i lodowce na górach. Wyprowadzono nawet z tego faktu przypuszczenie, że w owym perjodzie, gdy Sahara była jeszcze morzem, maximum śniegów i lodów znajdowało się w Europie południowej, i że z postępem procesu wysychania pustyni także lody i śniegi południowej Europy pod wpływem prądu powietrza, wiejącego od gorącej pustyni piaszczystej, topniały. Jeżeli tedy rozważymy ten wzgląd, pojmiemy, że zalanie Sahary staje się doniosłą kwestją dla Europy. Straci ona bowiem tyle na tem, ile północna Afryka zyska — piaski tam znikną — a tutaj, na południu najucywilizowańszej części świata, wieczyste zapanują śniegi."

— Katastrofa balonu „Zenit" skłoniła p. Faye do zaproponowania Akademji umiejętności, aby ta oznaczyła dla balonów, pewną wysokość wznoszenia się której żadna wyprawa powietrzna w przyszłości przejść nie powinna. W memorjale odnoszącym się do tej kwestji tak dalej pisze p. Faye: „Według mego zdania, wysokość siedmiu tysięcy metrów odpowiada w zupełności wszelkim wymaganiom współczesnej wiedzy. Wprawdzie atmosfera rozciąga się jeszcze 18 mil wyżej, na zasadzie bowiem obserwacyj gwiazd spadających przyjęto, że warstwa atmosferyczna otaczająca ziemię wynosi mil 30; — z tych 30 jednak dwie pierwsze tylko mają najważniejsze znaczenie — a jeden kilometr więcej lub mniej, żadnych znaczących rezultatów naukowych przyniesie nie zdoła. Ten zaś sam kilometr więcej, sprowadza powolne odurzenie naszych władz umysłowych i śmierć wreszcie, — a obserwacje uczynione w niebezpieczeństie życia lub w pół omdleniu na nie wiele wiedzy przydać się mogą. Sądzę tedy, że dobrze by było, aby Akademja to naukowe „ne plus ultra" naznaczyła i że aeronauci wszystkich krajów zastosują się do niego niewątpliwie."

Odpowiedzi Redakcji.

P. w Krakowie. Mówią o tem, nie od dziś, i kilkakrotnie słyszeliśmy to samo, ale czy prawdziwem jest przypuszczenie, nie mogliśmy się dowiedzieć. Zdaje nam się, że niewątpliwych wskazówek mógł by udzielić sam J. Verne, gdyby się kto doń udał za pośrednictwem jego nakładcy w Paryżu.

S. W. w Tarnopolu. Tom III. dzieł J. Dzierzkowskiego już na ukończeniu i temi dniami zostanie rozesłany.

M. O. B. w Krakowie. Z uczynionej nam propozycji korzystać nie możemy. Wiersz „Syn Polski" drukowany nie będzie.

Treść Nr. 22.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).